



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



LATO 2025 (44)
KRAKÓW



fol. Ryszard Adamus

Szukając zdjęcia współgrającego z zamieszczonym obok artykułem Redaktora Naczelnego, przypomniła mi się bajka o lisie z czasów mego dzieciństwa. Otóż jej bohater miał wielki problem z pchłami, które obsiadły go w ilości tak wielkiej, że stały się jego wielkim utrapieniem. Cwany przechera wymyślił sprytny fortel, aby pozbyć się uprzykrzonych pasożytów. Otóż upłócił z trawy coś na kształt czapki - koszyka, założył ją na głowę i zaczął powoli zanurzać się w wodzie. Pchły chcąc uniknąć zamoczenia, przeskakiwały coraz wyżej po grzbiecie, aż w końcu wszystkie siedziały na lisim karku. Wówczas ten zaczął powoli zanurzać głowę. Pchły w popłochu wskoczyły na koszyk, a wtedy lis dał nura wraz z głową. Koszyk z pasożytami, wesoło kołysząc się na fali, zmierzał hen ku morzu. Lis prychając wyskoczył z wody, energicznie się otrząsał i wolny od ciemieżycieli mógł wieść beztroski żywot.

Może byłaby to dla naszej myśliwskiej braci jakaś rada?...

Pasożyty naszego zrzeszenia...

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

Tak, dobrze przeczytaliście, nasz związek ciemieżą pasożyty, rzecz można różnych „maści” i formatu. Jak zapewne wiecie, każdy organizm posiada specyficzną parazytofaunę, która destrukcyjnie wpływa na swego żywiciela „żerując” w jego wnętrzu (tzw. endopasożyt) lub na jego ciele (ektopasożyt). My, ludzie, najczęściej borykamy się z glistami, tasiemcami czy też owsikami jako pasożytami wewnętrznymi oraz wszami, pchłami czy też świerzbowcami bytującymi na powierzchni naszego ciała (na skórze, we włosach), a nasze zrzeszenie...?

Dla przypomnienia, pasożyt nie jest zainteresowany uśmierceniem swego dobroczyńcy, gdyż ryzykuje utratę życia w trakcie poszukiwania innego żywiciela. Dlatego warto w taki sposób „pasożytować”, aby czerpać długotrwale korzyści, bez potrzeby przeprowadzki. Pasożyty trawią nasz związek od środka, ale są też takie, które kłusają nasze zrzeszenie od zewnątrz. I jedno i drugie są utrapieniem naszej społeczności. W ostatnim czasie niewątpliwie do największych ektopasożytów PZŁ należy zaliczyć niektórych polityków, którzy na krzywdach myśliwych – ale nie na ich śmierci – nieudolnie usiłują zrobić karierę polityczną. W swych atakach nie są odosobnieni, gdyż wtórują im liczne (choć zrzeszające w sumie garstkę ludzi) stowarzyszenia, które uprzykrzając życie nam, myśliwym, usiłują zbudować swój „ekologiczny biznes”. To oni choćby wmawiają społeczeństwu, że wilk jest w Polsce gatunkiem rzadkim i należy uratować go od zagłady, a jedynym słusznym remedium na całe zło to wpłata na ich konto. Zastanówmy się, co by się stało ze wszystkimi organizacjami antyłowiecznymi, gdyby myślistwo w Polsce zostało zakazane? Część by wymarła, gdyż nie znalazłaby w porę „nowego żywiciela”, a pozostała przerzuciłaby się zapewne na inne grupy zawodowo – społeczne, aby dalej żyć godnie na krzywdzie i naiwności innych.

Nasz związek trawią też endopasożyty, które umiejscowiły się w różnych organach naszego związku. Są takie, które „działają” w centrali, są też takie, które czynią to w okręgach, a najczęściej

jest ich (niestety) w naszych kołach. Niezależnie od tego, gdzie helmint się umiejscowi, ma jeden cel – wybić się wyżej, do organu wyższego rzędu, gdyż tam można czerpać większe korzyści. Gdy uplasuje się na samym szczycie to może żerować do woli lub (rzadsze przypadki) podejmuje ryzykowną próbę opuszczenia naszego związkowego organizmu, aby umiejscowić się w innym „zaszczytniejszym” ciele.

Z kolei na samym dole, w kole łowieckim szczególnie niebezpieczne są te pasożyty, które „żerują” w jego zarządzie, zwłaszcza, gdy nastąpi ich w tym miejscu kumulacja. Korzystają wtedy choćby z uprzywilejowań statutowych przyjmując do koła tylko te osoby, na których w przeszłości, w ramach szeroko pojętej wdzięczności, mogą żerować, a osoby w ich mniemaniu nieprzydatne odsyłają z przysłowiowym „kwitkiem”.

Reasumując – parazytofauna naszego zrzeszenia jest niezwykle bioróżnorodna, więc może najwyższa pora zastosować „środki odrobaczające”, aby usunąć z naszych struktur „pasożyty” i zastąpić je społecznikami, dla których najważniejsze jest dobro związku, a nie własny dobrobyt budowany na łowieckiej krzywdzie. Może warto też skropić toksynami nasze związkowe ciało, aby pozbyć się pcheł i świerzbowców.

Wasz Redaktor Naczelny



dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. URK
leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego
w Krakowie, wykładowca
gospodarki łowieckiej

Policzmy wilki w Polsce!

Henryk Okarma



Wilk jest gatunkiem objętym Dyrektywą Siedliskową, a jego polska populacja jest wymieniona w załączniku V, co oznacza, że można nią zarządzać po spełnieniu określonych wymagań. Najważniejszym z nich jest posiadanie niepodważalnych danych o liczebności gatunku, co u nas ciągle jest w sferze pobożnych życzeń. Instytucje odpowiedzialne za ten gatunek (Ministerstwo Klimatu i Środowiska i Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska) nie są zainteresowane, aby takie wiarygodne informacje posiadać, gdyż mogłoby to stanowić podstawę do rozpoczęcia dyskusji nad sposobem postępowania z tym gatunkiem. Zdominowane przez ochro-

niarskich radykałów trzymają się dogmatu ścisłej ochrony wilka, pomimo coraz większych problemów społecznych i zmniejszającej się akceptacji tych drapieżników wśród hodowców, myśliwych i w społecznościach wiejskich.

Mikołaj Dorożala, odpowiedzialny w Ministerstwie Klimatu i Środowiska za przyrodę, w piśmie z dnia 10 kwietnia 2024 r. skierowanym do Marszałka Sejmu RP, a będącym odpowiedzią na dezyderat Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Sejmu RP w sprawie zmiany zarządzania populacją wilka w Polsce, w związku z rosnącymi szkodami powodowanymi przez ten gatunek w rolnictwie stwierdził, że nie będą podejmowane jakichkol-

wiek nowe działania dotyczące tego gatunku, gdyż posiadamy o nim wystarczającą wiedzę. W szczególności nie ma potrzeby przeprowadzenia inwentaryzacji liczebności wilków w oparciu o najbardziej wiarygodną naukowo metodę czyli analizy genetyczne prób wilczych odchodów, gdyż istniejące instrumenty pozwalają ocenić stan populacji wilka bez konieczności przeprowadzania skomplikowanej, czasochłonnej i kosztownej inwentaryzacji. Brak takiej inwentaryzacji nie oznacza bowiem, że nie ma jakichkolwiek danych na temat liczebności wilka. Na przykład wskazał, że prowadzone są coroczne szacunki liczebności na potrzeby GUS i są one wystarczające. Kompromitujące stwierdzenie w ustach ministra odpowiedzialnego za przyrodę w Polsce! Nawet radykalne ochroniarskie organizacje pozarządowe pisały już o tym, że liczby te są kompletnie niewiarygodne.

Zagłębmy więc do tego źródła, o którym pisze mój ulubiony minister. Ostatni rocznik GUS podaje, że w 2023 roku w Polsce mieliśmy 5046 wilków. Na Podkarpaciu aż 1324 osobników, co oznacza, że na każdym 100 km² województwa, bez względu na to gdzie, bytowało ponad 7 wilków! A Wielkopolskę zamieszkuje ponoć aż 770 wilków! Dane kompletnie bez sensu, absurdałne, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

Marazm decyzyjny trwa już kilkadziesiąt lat, dlatego powstał pomysł społecznej zbiórki na przeprowadzenie inwentaryzacji wilka w Polsce. Oczywiście, apel skierowany jest przede wszystkim do myśliwych, bo to nas najbardziej dotyka rosnąca liczebność tych drapieżników, ale każdy chętny może włączyć się do zbiórki i do rozprzestrzeniania inicjatywy. Inicjatorami zbiórki byli: Kamil Kulejewski (kanał Sudecka Ostoja), Bogdan Złotorzyński (redakcja czasopisma Brać Łowiecka), Miłosz Kościelniak-Marszał (fundacja Instytut Analiz Środowiskowych). Zgodziłem się sprawować kierownictwo naukowe nad projektem, poprzez Instytut Ochrony Przyrody PAN w Krakowie. Od strony prawnej i księgowej nad zbiórką czuwa Instytut Analiz Środowiskowych. Zbiórka jest prowadzona od 13 czerwca na <https://patronite.pl/app/fundraise/3PxFiYFhAPq>

Celem proponowanej zbiórki jest zebranie środków finansowych na wykonanie po raz pierwszy w Polsce inwentaryzacji populacji wilków w skali całego kraju za pomocą najlepszej znanej metody – identyfikacji genetycznej poszczególnych osobników. Inwentaryzacja zostanie objęta cała Polska, gdyż wilki występują już praktycznie wszędzie, a wykonana na podstawie analiz genetycznych prób nieinwazyjnych pozy-

skanych z odchodów wilków. Instytut Ochrony Przyrody PAN przygotowuje fiolki ze specjalnym buforem do zbioru prób, które zostaną przekazane wszystkim chętnym do zaangażowania się w inwentaryzację. Każda fiolka będzie miała unikalny numer identyfikacyjny i kod QR. Osoby zbierające próby będą miały dostęp do aplikacji telefonicznej, która automatycznie zarejestruje próbkę wraz z danymi lokalizacyjnymi. Fiolki będą mogły być przechowywane w temperaturze pokojowej. Fiolki zostaną rozdysponowane do wszystkich chętnych, którzy będą chcieli zaangażować się w zbiór prób. Instytut także opracuje i udostępni online szczegółową instrukcję dotyczącą metodyki zbioru prób wilczych odchodów. Próbkę muszą być pozyskane tylko w czasie jednego sezonu zimowego, ponieważ kolejny okres rozrodczy wprowadzi do wilczej populacji nowe osobniki, czyli nowe genotypy. Zbiór prób nie wymaga pokrywy śnieżnej, chociaż wtedy łatwiej odszukiwać wilcze odchody. Najważniejsze, aby temperatura w ciągu nocy spadała poniżej zera.

Analizy genetyczne zebranych prób zostaną wykonane w dwóch etapach. W pierwszym, zostanie wykonana preselekcja zebranych prób, aby wybrać z nich te, które zawierają materiał genetyczny wystarczającej jakości. Następnie wyselekcjonowane próby zostaną zanalizowane z wykorzystaniem specyficznych markerów genetycznych, co pozwoli na określenie indywidualnych osobników (a przez to liczebności populacji) oraz skalę występowania mieszańców między wilkami i psami domowymi.

Mamy unikalną szansę, aby pokazać wszystkim, także przeciwnikom myśliwych i łowiectwa, że jesteśmy realną siłą, która posiada moc sprawczą, potrafimy się zorganizować i osiągać zamierzone cele. Policzmy wilki w Polsce – za nasze pieniądze i naszymi rękami!



prof. dr hab. Henryk Okarma biolog, pracownik naukowy Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się ekologią zwierząt, biologią łowiecką i ochroną przyrody. Autor licznych prac naukowych i książek dotyczących łowiectwa

Fauna Gminy Michałowice na przestrzeni lat

Jerzy Chmiel



Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat Gmina Michałowice zmieniła się w sposób znaczący. Można powiedzieć, iż „zbliżyła się” do Krakowa, a w rzeczywistości to Kraków poszerzył swe granice, zajmując tereny wsi, takich jak: Prądnik, Zielonki, Węgrzce. Z furmanki i autobusu, toczących się wyboistą drogą, przesiedliśmy się do wygodnych samochodów, poruszają-

cych się po gęstej sieci nowoczesnych dróg. Z gminy typowo rolniczej staliśmy się przedmieściem i „sypialnią” Krakowa. Mogłoby się więc wydawać, iż z powodu zmian siedliskowo-urbanistycznych nie ma już miejsca dla zwierząt dziko żyjących, zwłaszcza dużych ssaków kopytnych, takich jak jeleni, dzik czy większe drapieżniki.

Wbrew obiegowym opiniom osób głoszących tezę o zajmowaniu przez ludzi kolejnych miejsc bytowania grubej zwierzyny, trzeba jasno powiedzieć, że nigdy wcześniej jej na naszym terenie nie było. Co prawda występowała w dużych kompleksach leśnych Puszczy Niepołomickiej, ale w niewielkiej ilości, przez co gruba zwierzyna podlegała ochronione przez kolejnych wład-

ców. Świadczy o tym fakt, że przez wieki prawo do polowania na te gatunki przysługiwało tylko królowi, rycerstwu i duchowieństwu. Natomiast na zwierzynę drobną: zające, kuropatwy, kaczki, lisy, kuny, borsuki mógł polować każdy właściciel ziemi.

W okresie międzywojennym polowali właściciele Michałowic, to jest Tadeusz Dąbrowski, jego syn Jerzy, będący zarządcą i późniejszym właścicielem majątku w Łososinie Dolnej oraz łowczym w lasach nawojowskich. Polował też Jan Dyakowski, ostatni właściciel Masłomiącej i Młodziejowic, którego cenna kolekcja broni myśliwskiej została ukryta w okolicy dworu na początku II wojny światowej i do dziś pozostaje nieodnaleziona. Z możliwości polowań korzystali również właściciele pomniejszych majątków w dolinie Dłubni. Wszyscy oni dbali o dziką zwierzynę zatrudniając gajowych lub tzw. strzelców, do których obowiązków należała ochrona zwierzyny przed kłusownictwem, drapieżnikami oraz zaopatrywanie dworskiej kuchni w mięso. Analizując archiwalne materiały i publikacje nigdzie nie ma wzmianek o bytowaniu na tych ziemiach dzików czy jeleni, zaś sarny były widywane sporadycznie. W okresie wojennych zawieruch z powodu biedy oraz braku pożywienia szerzyło się kłusownictwo.

Po II wojnie światowej powstała ustawa łowiecka wprowadzająca okresy ochronne dla zwierzyny oraz podział kraju na obwody wydzierżawiane myśliwym zrzeszonym w kołach łowieckich. Zwierzyna jako dobro ogólnonarodowe stała się własnością Skarbu Państwa, a zadaniem kół łowieckich jest ochrona zwierzyny przed kłusownictwem, drapieżnikami oraz zachowywanie równowagi gatunkowej poprzez niewielki odstrzał niezbędny do wymiany pokoleniowej.

Jednym z kół, które od roku 1948 dzierżawi obwód o powierzchni ponad 4500 ha, utworzony na terenach gmin: Michałowice, Iwanowice, Słomniki i Kocmyrzów, jest Koło Łowieckie „Knieja”, którego jestem członkiem od 43 lat, a od 28 lat pełnię w nim funkcję łowczego. Będąc w posiadaniu archiwum koła, zawierającego informacje na temat gatunków łownych, zdarzeń, prowadzonych czynności w kole od momentu jego powstania do chwili obecnej, mam rzetelne dane dotyczące ilości upolowanej zwierzyny w stosunku rocznym oraz gatunków, które bytowały i obecnie bytują na tym terenie. Chciałbym podkreślić, iż zebrany materiał jest wiarygodny, gdyż nie było powodów, aby fałszo-



wać czy naginać dane statystyczne. Od roku 1980, to jest od daty mojego wstąpienia do koła osóbście, z pełną skrupulatnością gromadziłem odręcznie sporządzane wykazy, tworząc jednocześnie kronikę koła, która dziś liczy trzy opasłe tomy. Jest to kopalnia wiedzy nie tylko na temat ilości i gatunków zwierzyny żyjącej na tym terenie, ale też nasza kronika jest świadectwem zmian zachodzących w strukturze upraw, zmian krajobrazu oraz modyfikacji w prawie łowieckim; nie wspominając o ciekawych ludziach, którzy tu przyjeżdżali, bywali na polowaniach. Byli to znani krakowscy profesorowie, lekarze, prawnicy, ówczesne elity władzy.

Jako rdzenny mieszkaniec, którego przodkowie żyli tu od wielu pokoleń, z wykształcenia rolnik, z zamiłowania zaś leśnik oraz myśliwy, przez ponad pół wieku przyglądałem się i odnotowywałem te zmiany. Przez lata poznałem tu każdą ścieżkę, pola, lasy oraz ludzi, którzy na tej ziemi pracowali. Niewielkie kilkuhektarowe gospodarstwa, mozaika pól i upraw obrabianych ręcznie bez użycia chemii i wielkich maszyn, tutaj

sze uprawy warzyw czy stare, zapuszczone sady były idealnym siedliskiem dla zajęcy i kuropatw, jak również dla wielu gatunków ptaków śpiewających. Jedynym ich wrogiem były lisy, ale ze względu na wartościowe i modne w owym czasie futra, ich liczba utrzymywała się na stosunkowo niskim poziomie. Wprawdzie kłusownictwo stanowiło poważny problem, ale systematyczne akcje usuwania wnyków oraz surowe prawo pozwalały ograniczyć ten proceder. Tak więc zajęcy i stada kuropatw liczące po kilkanaście osobników można było spotkać wszędzie. Czasami po niezwykle ciężkiej zimie, w cyklach powtarzających się co 8-10 lat bywały zauważalne spadki populacji, lecz po 1-2 latach odbudowywały się do podobnego lub wręcz wyższego poziomu.

W połowie lat 60. Polski Związek Łowiecki, poprzez swoich myśliwych rozpoczął akcję introdukcji bażantów pochodzących z kilku wolier na terenie kraju. Bażant nie jest gatunkiem rodzimym, a jego miejscem pochodzenia jest Azja. Bytująca w Polsce populacja to krzyżówka kilku

gatunków sprowadzonych z zagranicy i wyhodowanych w Polsce. Były sprowadzane i umieszczane w parkach i majątkach ziemskich całej Europy, głównie w celach ozdobnych. W latach 70. wszystkie koła łowieckie każdego roku wsiedlały setki tych ptaków. Bażant, mając u nas doskonałe warunki bytowo-żerowe, rozprzestrzenił się błyskawicznie. Dodatkowym atutem tego kolorowego ptaka jest to, że noc spędza w koronie drzew, co daje mu schronienie przed drapieżnikami, takimi jak lis, kuna a także spotykanymi dawniej, na półdzikim żyjącymi kotami i psami puszczanymi samopas. W Polsce poluje się tylko na samce tego gatunku, które łatwo odróżnić po barwnym upierzeniu, podczas gdy samice są szare. Bażant jest dzisiaj najliczniej występującym przedstawicielem zwierzyny drobnej.

Jeśli chodzi o sarny to dawniej występowały dość rzadko, mimo niewielkiego odstrzału. Główną przyczyną niskiego stanu populacji były: długie i śnieżne zimy, kłusownictwo oraz stada włóczących się po polach i lasach psów. Gruba pokrywa zmrożonego śniegu jest dla saren, pędzonych przez psy, zabójcza. Każdej zimy zbieraliśmy setki wnyków rozstawionych w zagajnikach oraz szczątki kilkudziesięciu saren rozszarpanych przez psy. Dopiero lata 2000 przyniosły znaczny przyrost populacji. Wzrosła zamożność i świadomość społeczeństwa. Z więcej

skich dróg i pól zniknęły watahy wałęsających się, głodnych, na wpół dziczących psów. Wnyków już prawie nikt nie zastawia, a śnieżne zimy trwają najwyżej kilka dni. Pogłowie saren wzrosło tak gwałtownie, iż stały się one potężnym problemem dla mieszkańców. Wiosną rudle saren żerują na plantacjach truskawek i rzepaku wyjadając rozwijające się pączki. W uprawach i w szkółkach leśnych zgryzają sadzonki. Przebiegając przez ruchliwe drogi stają się przyczyną licznych kolizji drogowych. Na terenie gminy rocznie odnotowuje się kilkadziesiąt takich zdarzeń. Wyrządzone szkody to ranni oraz rozbite samochody. Z tego powodu regulacja wielkości populacji sarny jest niezbędna.

Kolejnymi zwierzętami, które zadomowiły się na naszym terenie są dziki. Regularnie pojawiały się niedawno, gdyż około roku 2005-2006. Wcześniej można było spotkać pojedyncze, wędrujące osobniki, które nie zatrzymywały się u nas na dłużej. Gwałtowny wzrost populacji zbiegł się ze zmianą charakteru upraw. Małe gospodarstwa przestały być dochodowe i zostały wchłonięte przez dobrze zmechanizowane gospodarstwa wielkopowierzchniowe. Obsiane setki hektarów kukurydzy i rzepaku stworzyły dzikom idealne warunki bytowe. Ta ogromna baza żerowa sprawiła, iż młode osobniki żeńskie zaczęły dojrzewać już w wieku 8-9 miesięcy





i szybko zaczęły się mnożyć. Wcześniej, w warunkach typowego żeru było to możliwe dopiero w ich drugim, a nawet trzecim roku życia. Z moich obserwacji udokumentowanych również zdjęciami i nagraniami wynika, że bytujące na naszym terenie dziki wykazują roczny, zrealizowany przyrost na poziomie 300 – 400%. Oznacza to, że jeśli wataha na wiosnę liczy 10 osobników, to jesienią po rozrodzie będzie liczyła około 45. Na terenie gmin Michałowice oraz ościennych bytuje obecnie kilkanaście takich watah, które stwarzają liczne problemy, między innymi powodują kolizje drogowe. Zderzenie dzika z autem poruszającym się z większą prędkością powoduje znaczne uszkodzenie pojazdu, wręcz kasację i niestety, również ofiary w ludziach. Te kilkaset dzików do przetrwania potrzebuje ogromnej ilości pożywienia, więc mamy również problem rosnących szkód w uprawach rolnych i sadowniczych. Miasto Kraków również boryka się z podobnymi kłopotami: tak zwane „dziki śmietnikowe” zdomowały się na osiedlach, w parkach, na placach

zabaw terroryzując okolicznych mieszkańców. Mnożą się i nie znajdując odpowiedniej bazy żerowej, migrują poza miasto na tereny sąsiadujących gmin.

Proporcjonalnie do błyskawicznego wzrostu populacji dzika, gwałtownie maleje ilość zwierzyny drobnej. Okazuje się, że dziki penetrujące nocą nieużytki, miedze, wąwozy i zakrzaczenia niszczą gniazda kuropatw i bażantów, a także napotkane, bezbronne młode zajęczki. Prowadzone od lat szczepienia ochronne lisów oraz akcje skierowane przeciw wykorzystaniu naturalnych futer doprowadziły do powiększenia się populacji tych drapieżników. Ich ilość w sposób drastyczny wywołuje straty w pogłowie zwierzyny drobnej, ale również hodowlanego drobiu utrzymanego na wolnym wybiegu. Na naszym terenie pojawiają się regularnie jelenie, również korzystające z ogromnej bazy żerowej na pozostawionych do późnej zimy uprawach kukurydzy. Coraz częściej spotyka się wędrujące wilki, których populacja



w kraju znacznie wzrosła. Raczej nie zadołują się u nas na stałe, ale niech nas nie dziwi widok tego drapieżnika przebiegającego drogę nocą lub bladym świtem.

Walcząc o ochronę naszego środowiska zwróćmy uwagę, że jego częścią jest także zwierzyna dzika. Jak widzimy na podstawie opisanych faktów zmiany środowiskowe, siedliskowe powodują wypieranie jednych gatunków przez drugie.

Prawdziwa ochrona przyrody musi polegać na dbaniu o rozwój i zachowanie równowagi gatunkowej wszystkich ssaków i ptaków. Nie możemy dopuścić do tego, aby silniejszy, większy gatunek wyparł całkowicie te słabsze, tak jak obecnie czyni to populacja dzika i lisa. Dzik, który tak naprawdę zdomował się na tym terenie zaledwie 12 lat temu, przysparza nam wiele problemów i tu jest właśnie miejsce dla zadań czynionych przez myśliwych. Wbrew temu co twierdzą przeciwnicy polowań, przy-

roda i niektóre gatunki, zwłaszcza te słabsze, nie poradzą sobie same. Niezbędny jest stały monitoring ilości bytującej zwierzyny, ochrona gatunków zagrożonych oraz regulacja poprzez odstrzał tych osobników, które nadmiernie się rozmnożyły. Na chwilę obecną nie ma lepszego i skuteczniejszego sposobu zachowania równowagi i bioróżnorodności gatunkowej. Odłowy setek dzików czy lisów to utopia ze względu na koszty oraz brak miejsca, gdzie można by je wypuścić (dzików nie można przemieszczać ze względu na ASF). Nie wspominając już o ogromnym stresie i okaleczeniach, na jakie by się narażało dzikie zwierzęta zamknięte w klatce w czasie odłowu i transportu. Nasuwa się również pytanie kto miałby to robić i kto miałby to finansować? Gmina? Z czyich pieniędzy? Przykładem są odłownie funkcjonujące od kilku lat w Krakowie. Generują ogromne koszty, zaś ich skuteczność jest znikoma. Ilość dzików stale się powiększa i problemów też przybywa. Dobrze prowadzona gospodarka łowiecka, oparta na rzetel-



nej wiedzy o zmieniającym się przyroście oraz ilości zwierzyny na danym terenie sprawia, że będą mogły tu bytować wszystkie gatunki fauny, ale ich liczba musi podlegać regulacji i kontroli, aby móc ograniczać koszty generowane przez straty w uprawach i mieniu mieszkańców. Szacując szkody łowieckie oraz jeżdżąc do wypadków komunikacyjnych spowodowanych przez zwierzynę, wielokrotnie widziałem jak właściel rozbitego pojazdu czy zniszczonego w jedną noc hektara ziemniaków czy kukurydzy, z wielkiego miłośnika zwierząt stawał się nagle jej zagorzałym przeciwnikiem. Stare polskie przysłowie mówi: „Mądry Polak po szkodzie”. Starajmy się być mądrzy przed szkodą i pozwólmy zająć się gospodarką łowiecką tym, którzy się na tym znają. To temat wielowątkowy i trudny dla czło-

wieka bez odpowiedniej wiedzy, doświadczenia i przygotowania w tym kierunku.

fot. autor



Jerzy Chmiel

Myśliwy, wieloletni działacz łowiecki znający się na gospodarce łowieckiej jak mało kto. Od ponad ćwierć wieku jest łowczym Koła Łowieckiego „KNIEJA” w Krakowie. Delegat z Krakowskiego Okręgu PZŁ na Zjazd Krajowy

Dokarmianie sianem dzikich zwierząt! Realia polskie i kanadyjskie

Michał Kiełb

W systemie socjalistycznym była to podstawowa łowiecka czynność. W ślad za wypełnionymi sianem paśnikami podążali przeróżni kontrolerzy ze straży leśnej i łowieckiej. Bywały też kontrole z Wydziału Ochrony Środowiska, które w swej kompetencji miały nadzór oraz dyspozycję dzierżawy łowiska! Te wymienione czynniki niejednokrotnie miały wpływ na późniejsze zmiany granic danego obwodu łowieckiego, a w szczególnych przypadkach nawet jego utratę!

Te destrukcyjne zależności co do utrzymania albo utraty łowiska w systemie komunistycznym wynikały najczęściej z powodów politycznych. Takie sytuacje zdarzały się dość często, a nawet i nagminnie, choćby wtedy, gdy koło łowieckie przyjęło do swej społeczności znanego polityka, a on w ramach tzw. wkładu osobistego, mocą swych wpływów, swobodnie powiększał już „swoją” obwód łowiecki! Czyli bezkrytycznie przesuwając granice kosztem sąsiadów, a czasem odbierał im nawet jeden z obwodów na rzecz swego koła łowieckiego!

Starsi koledzy myśliwi pamiętają zapewne, że gdy wyżej wymienieni strażnicy coraz częściej kręcili się przy ich paśnikach, to niechybnie znaczyło, że chcą im zabrać co najmniej dobre łowisko, a może i cały obwód. Na nic w tym miejscu zdawały się jakiekolwiek wyjaśnienia i rzetelne dowody, pokryte faktami, gdyż jak taki wysoce postawiony sekretarz z KW PZPR się uparł, to stawał na swoim i powiększył swym koleśiom łowisko. Stąd wynikały te, coraz częstsze, kontrole koła pod kątem zapełnienia paśników sianem oraz ochrony łowiska (likwidowanie potrzasków i wyników). Sam byłem świadkiem, jak kontrolujący „przyczepili” się do koła o to, że siano zbudawiało, bo zbyt długo zalegało w paśniku, a powinno być częściej wymieniane.

A jak to jest w rzeczywistości z tym dokarmianiem dzikich zwierząt? Jest to w moim mniemaniu zjawi-

sko, które wymaga długotrwałej obserwacji, a w ślad za nią przejrzystych badań łowieckich. Nie da się w tym miejscu przekłamać rzeczywistości. Mając podstawową wiedzę w tym zakresie pragnę się z Wami, myśliwymi, nią podzielić.

Wspomnę tu tylko, w celu porównawczym, jak to wygląda w polskich łowiskach, gdzie w większości obwodów zapełnione paśniki, mimo urozmaiconej i zasolonej paszy w postaci siana, są niedożywiane, a dzikie zwierzęta rzadko korzystają z tego sposobu dokarmiania. W polskich, zróżnicowanych pod względem wieku i składu gatunkowego drzewostanach, żer jest urozmaicony. Oprócz tego śródleśne łączki i polany, a także pola uprawne (oziminy) dostarczają zróżnicowanego żeru. Dlatego zalegające paśniki sianem nawet smakowo zasolonym, nie ściągają do siebie zwierząt, nawet w dni śnieżne i mroźne.

Inaczej jest na przykład w Kanadzie, szczególnie na obszarach pełnej dzikości, gdzie nieustannie przez ponad 4 miesiące są wysokie mrozy (> - 38°C) oraz zalega jednometrowa pokrywa śnieżna. W tych warunkach, w ramach eksperymentu, wyłożyłem w paśniku zasolone siano, które znikło przed upływem dwóch dob. Mało tego, jak wynika z analizy zdjęć (Fot. 1) wykonanych przez fotopułapki, najedzone jelenie wirginijskie (kilka łan i jeden byk), leżały i pilnowały tego paśnika dotąd, aż opróżniły go do końca.

Darzbór i Święty Hubert



Michał Kiełb

założyciel i pierwszy redaktor Łowca Świętokrzyskiego, pasjonat badań kanadyjskiej fauny. Łowiectwo uprawia ponad 50 lat, w tym ponad 25 w Kanadzie

Mój sąsiad NIEDŹWIEDŹ

Marcin Sichelski



rys. Hubert Zwinczak

Gdy w lipcu tego roku Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska wydała zgodę na odstrzał trzech niedźwiedzi w gminie Cisna, przez media i sieci społecznościowe przetoczyła się prawdziwa burza. Nieprzychylnie hasła podchwyciły nie tylko organizacje ekologiczne, ale też osoby, które z przyrodą mają głównie kontakt przez ekran smartfona. Decyzja – jakkolwiek kontrowersyjna – nie zapadła jednak z dnia na dzień, a u jej podstaw leżały realne problemy mieszkańców oraz narastające zjawisko **utraty naturalnego dystansu dużych drapieżników do człowieka**. Jedną z kontrpropozycji, które pojawiły się w odpowiedzi na decyzję o odstrzale, było przesiedlenie problematycznych osobników w rejon Tatr. Pomysł ten, w zderzeniu z rzeczywistością budzi spore wątpliwości. Po pierwsze niedźwiedzi jest już tu naprawdę dużo, a po drugie jest to działanie pozorne, a nie naprawcze, które przyniosłoby więcej szkody niż pożytku.

Ile niedźwiedzi mamy w Polsce? I dlaczego nikt tego dokładnie nie wie?

Ostatni oficjalny monitoring populacji niedźwiedzi brunatnych w Polsce pochodzi sprzed niemal dwóch dekad. Według danych z 2007 roku populacja liczyła ok. 95 osobników. Od tego czasu nie przeprowadzono pełnych badań genetycznych, ale według „Raportu o stanie ochrony dużych drapieżników w Europie”, sporządzonego dla Komisji Europejskiej, raportów Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska oraz analiz i prac badawczych biologów, roczny przyrost populacji, wynosi 2–8%. Oznacza to, że dziś w polskich Karpatach może żyć już blisko **400 niedźwiedzi**. Potwierdzają to m.in. dane Głównego Urzędu Statystycznego, który na koniec 2023 roku oszacował krajową populację na **390 osobników**. Dane udostępniane przez część środowisk naukowych są nieco bardziej ostrożne, jednak wciąż oceniają populację na ilość powyżej 250 osobników. Niezależnie od wybranego źródła informacji obserwujemy stały przyrost liczby tych dużych drapieżników i powiększający się areal ich bytowania.

Polska populacja koncentruje się głównie w **Bieszczadach, Tatrach i Beskidzie Niższym**, ale jej zasięg stale się rozszerza. W ostatnich latach niedźwiedzie obserwowano w rejonie Rabki Zdroju, Krościenka nad Dunajcem, a nawet w **okolicach Lubnia i Pcimia**, czyli zaledwie kilkanaście kilometrów od **Myślenic** i krakowskiej aglomeracji. To już nie jest ciekawostka – to realna i postępująca zmiana granicy ich występowania.

Niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*) to gatunek długowieczny, ale rozmnażający się stosunkowo wolno – samica wydaje na świat młode co 2–3 lata, zwykle od jednego do trzech. Mimo tego, dzięki ochronie gatunkowej, braku naturalnych wrogów i rosnącej dostępności łatwego pokarmu (w tym antropogenicznego), dynamika wzrostu liczebności jest stabilna. Terytorium dorosłego samca może obejmować nawet kilkaset kilometrów kwadratowych, co w gęsto zaludnionym i pofragmentowanym terenie Małopolski sprzyja szybkiemu **nakładaniu się obszarów bytowania z infrastrukturą ludzką oraz terytoriów innych niedźwiedzi**, a konsekwencji prowadzi do wzrostu konfliktów przestrzennych.

Karpacka populacja – jak wygląda sytuacja w regionie?

Polska populacja jest częścią większej karpackiej metapopulacji, obejmującej Słowację, Ukrainę, Rumunię i fragmenty Czech. Szacuje się, że cała populacja karpacka liczy **około 13 000 osobników**.

Rumunia: największa część – według stanu na 2025 rok to ponad **10 000 niedźwiedzi**;

Słowacja: populacja oceniana na **około 1 300 osobników**;

Ukraina: brak wiarygodnych danych, ale lokalni przyrodniczy oceniają liczebność na kilkaset zwierząt.

W Rumunii, gdzie wprowadzono na pewien okres zakaz odstrzału, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Doszło do setek incydentów z udziałem ludzi, kilkudziesięciu ciężkich pogryzień i śmiertelnych ataków, a ostatnie śmiertelne zdarzenie z udziałem motocyklisty miało miejsce zaledwie kilka tygodni temu. Dopiero częściowe przywrócenie odstrzałów oraz wprowadzenie mobilnych grup interwencyjnych zaczyna stabilizować sytuację. Obecnie strzela się tam ponad 400 niedźwiedzi rocznie. Słowacy z kolei podchodzą do problemu dość pragmatycznie, chociaż towarzyszą temu potężne emocje, potęgowane głównie przez środowiska ekologiczne i osoby niemieszkające w okolicy występowania niedźwiedzi. Od jakiegoś czasu, ze względu na regularne zdarzenia z udziałem tych drapieżników, władze, w porozumieniu z samorządami, prowadzą aktywne zarządzanie populacją. W 2024 roku odstrzelono 93 niedźwiedzie, a na 2025 rok zatwierdzono odstrzał 350 osobników.

W Polsce odstrzał niedźwiedzia to ostateczność. Musi zostać spełnionych wiele warunków: wielokrotne incydenty, nieskuteczność metod płoszenia, ekspertyza przyrodnicza, decyzja Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, a często także konsul-

tacje z organizacjami społecznymi. Mimo licznych zgłoszeń i strat, na przestrzeni lat wykonanych zostało tylko kilka odstrzałów interwencyjnych.

Niedźwiedź na nęcisku

W Zakopanem i okolicach niemal codziennie dochodzi do sytuacji, które kiedyś byłyby sensacją. Niedźwiedzie regularnie podchodzą do domów, rozgrzebują śmietniki w centrum miasta, pojawiają się przy hotelach i pensjonatach, niszczą pasieki i wchodzą na ogrodzone posesje. To już nie są tylko wędrownie młode osobniki – coraz częściej to stali bywalcy, którzy kojarzą człowieka i ludzką infrastrukturę z łatwym dostępem do pokarmu.

Przez ostatnich dziesięć lat wizyty niedźwiedzi na moim podwórku stały się normalnością, a ich spryt i siła w pokonywaniu zabezpieczeń są co najmniej godne podziwu. W ciągu jednego roku rozpoznałem siedem różnych osobników, które regularnie pojawiały się w okolicy i dawały się obserwować oraz uwieczniać na zdjęciach i nagraniach. Zwierzęta przychodziły i próbowały wyjadać śmieci z kontenera. Ciekawostką jest, że starsze osobniki zazwyczaj wyciągają worki i rozgrzebują ich zawartość na miejscu, z kolei młodym niedźwiedziom pomaga matka, wyciągając po jednym worku, które te zaciągają w pobliskie krzaki i tam uczują pod ich osłoną. Matka, niczego nie robiąc sobie z braku prywatności, buszuje na widoku, często na środku parkingu.

Zabezpieczenie kontenera bywa uciążliwe – pastuch elektryczny nie spełniał oczekiwań, bo niedźwiedzie szybko nauczyły się radzić sobie z jego powaleniem. Gdy wsadziłem grubą deskę pomiędzy kłapy kontenera, kamera z monitoringu nagrała, jak niedźwiedzica łamie ją dwoma kłapięciami pyska. Dopiero stalowy profil był na tyle skuteczny, że niedźwiedź nie mógł otworzyć śmietnika. Wsunął za to łapę pod jedną z kłap i z łatwością wygiął grubą blachę, niszcząc przy tym obudowę. Najskuteczniejsze okazały się łańcuchy, które zamykane na kłódkę są mniej uciążliwe i dość odporne na niedźwiedzi spryt. Miśki często niszczą również okoliczne pasieki i kompostowniki, rzadziej zaglądają do zagród z owcami i to raczej wtedy, gdy nie ma tam ani psów, ani ludzi. Chętnie korzystają z lizawek solnych i często wspinają się na nie, co wymaga niemałych zdolności akrobatycznych. Są też bardzo żarłoczne, uwielbiają kukurydzę i buraki, które myśliwi sypią dzikom na nęciskach. Potrafią spędzić przy nich nawet pół nocy, jedząc i wylegując się w przerwach. Znam sytuację, gdzie niedźwiedź tak najadł się buraków, że zwymiotował przed fotopułapką, po czym, bez większych skrępowań, wrócił do jedzenia.

Inna sytuacja dotyczyła mojego serdecznego kolegi, któremu dzik po strzale uszedł do pobliskiego młodnika. Podczas próby dojścia do zwierza na drodze pojawiła się niedźwiedzica, która stojąc na dwóch łapach, warczała i blokowała przejście. Krzyki i latarka nie pomogły – trzeba było iść po samochód, żeby przepłoszyć zwierzę i bezpiecznie ściągnąć dzika.

Spotkania z niedźwiedziami to dla myśliwych polujących na terenie Podhala i Bieszczad nic nadzwyczajnego, chociaż historie z ich udziałem bywają czasem przerażające, a czasem zabawne. Miałem kiedyś możliwość obserwowania, jak borsuk i młody niedźwiedź walczyły o miejsce przy nęcisku. Chociaż wydaje się, że wynik był z góry przesądzony, sprawa nie była tak oczywista. Zmagania zakończyły się remisem, gdyż raz jaźwiec pogonił niedźwiedzica, a raz miś wyprosił borsuka ze stołówki.

Świetna baza żerowa, łagodne i krótkie zimy, brak naturalnych wrogów oraz coraz częstsze mioty trzech, a nawet czterech młodych sprawiają, że populacja niedźwiedzi w polskich Karpatach systematycznie rośnie i rozszerza swój zasięg. Przypadki takie jak ten z Cisnej unaoczniają, że pytania o przyszłość tych drapieżników w naszym krajobrazie mogą pojawiać się coraz częściej i coraz trudniej będzie je ignorować.

Choć dziś odstrzał, poza ściśle interwencyjnym, nie wydaje się uzasadniony, warto zastanowić się, czy w przyszłości nie staniemy przed potrzebą bardziej aktywnego podejścia. Historia przecież zna czasy, gdy populacja niedźwiedzi była elementem gospodarki łowieckiej – począwszy od epoki królewskich łowów, przez okres zaborów, po którym wprowadzono częściową ochronę, aż do lat pięćdziesiątych XX w., kiedy to wprowadzona została ochrona ścisła. Patrząc na doświadczenia innych krajów widać wyraźnie, że narastający problem obecności dużych drapieżników w sąsiedztwie ludzi kiedyś może dotyczyć także Polski. Dlatego w debacie o obecności niedźwiedzi w Bieszczadach, na Podhalu czy w innych regionach Karpat, powinien wybrzmieć przede wszystkim głos tych, którzy mają z nimi realny kontakt: leśników, naukowców i mieszkańców. To oni znają lokalne warunki, obserwują i badają zachowania zwierząt, a przede wszystkim doświadczają ich obecności na co dzień – nie przez ekran smartfona, ale w rzeczywistym krajobrazie górskich wiosek i lasów.



Marcin Sichelski
doświadczony myśliwy,
członek kilku kół łowieckich,
podhalański przedsiębiorca
i hotelarz. Przewodnik
tropowca i pasjonat
trofeistyki



Wycena medalowa trofeów jeleni byków pozyskanych w sezonie 2024/2025

Mateusz Dudzik



fot. Ryszard Adamus

Trofea łowieckie towarzyszą człowiekowi od momentu, kiedy tylko zaczął polować. Wszystkie są wytworem oraz przejawem witalności i siły żywotnej ich nosicieli. Ich jakość świadczy więc o kondycji fizycznej poszczególnych osobników jak również o wartości danego siedliska, w którym żyje zwierzyna, a także o poziomie gospodarki łowieckiej w obwodzie, regionie czy też kraju.

Dla łowcy największą wartość ma trofeum, którego pozyskanie szczególnie utkuło mu w pamięci. Wcale nie musi być to okazały złotomedałowy wieniec. Bardzo ważne jest również samo pozyskanie, pamięta się moment decyzji o strzale oraz przebieg wydarzeń po jego dokonaniu, szybkie nie sprawiające zwierzynie bólu uśmiercenie. Wszystko to wpływa na rangę danego trofeum spośród innych pozyskanych. To osobista i zawsze subiektywna wartość trofeum myśliwskiego.

Oprócz subiektywnej oceny wartości trofeów posiadamy kryterium wartościowania wg formuły CIC. Formuły te zostały oparte w głównej mierze na obiektywnych pomiarach, które odzwierciedlać mają jakość trofeum na tle jemu podobnych nie kierując się subiektywizmem posiadacza.

Celem działania Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich Zarządu Okręgowego w Krakowie jest wycena medalowa tych trofeów, które po ocenie prawidłowości odstrzału spełniły podstawowe kryteria do jej przeprowadzenia. Komisja zebrała się 12 marca wyceniając głównie wieniec jeleni byków oraz pozostałe trofea łowieckie dostarczone przez ich posiadaczy.

Po wnikliwej analizie w oparciu o kryteria wyceny medalowej CIC, Komisja przyznała 1 medal złoty, 6 medali srebrnych oraz 10 medali brązowych. Medalowe wieniec stanowiły 11,8% spośród całego pozyskania, a więc niemal tyle samo co w sezonie wcześniejszym (11,7%). Największą liczbę punktów (212,66) uzyskał wieniec byka upolowanego na terenie obwodu 50 (KŁ „Diana” Chrzanów) przez kolegę Zbigniewa Banaszewskiego.

W zakończonym sezonie najwięcej medalowych byków (5) pozyskano na terenie obwodu 50 – dzierżawionego przez KŁ „Diana” w Chrzanowie. Po dwa medalowe byki pozyskano w obwodzie 49 dzierżawionym przez koło łowieckie „Żuraw” w Chrzanowie oraz obwodzie 66 dzierżawionym przez KŁ „Szarak” w Krakowie.

medal złoty

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Wstępna wycena CIC (pkt.)
1.	Zbigniew Banaszewski	50	11	10,05	12ROK	212,66

medal srebrny

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1.	Marcin Janik	64	8	8,3	16NOK	201,96
2.	Paweł Mąsior J.	50	10	7,8	16NOK	199,95
3.	Mariusz Likus	50	7	8,4	M	198,94
4.	Przemysław Wróbel	36	11	6,8	12ROK	194,14
5.	Adam Dudek	27	11	7,1	M	193,36
6.	Karolina Klejdzińska	49	6	8,0	12NJK	191,89

medal brązowy

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1.	Lukasz Cieplik	50	8	6,6	14ROK	187,55
2.	Władysław Wolarek	62	10	7,6	14NJK	186,54
3.	Artur Czajewski	50	8	6,9	M	184,33
4.	Mieczysław Ryś	66	6	6,1	M	183,82
5.	Mieczysław Ryś	78	6	5,7	14NJK	177,45
6.	Tomasz Rakoczy	62	10	8,2	12NOK	177,44
7.	Jan Pilch	49	10	6,1	12NOK	175,21
8.	Marcin Stawowiak	49	4	7,5	10RNK	172,07
9.	Artur Kuś	83	9	5,7	12NJK	171,67
10.	Mateusz Raputa	63	4	6,5	8R	170,90

■ - pozyskanie niezgodne z zasadami selekcji;

A teraz trochę statystyk – średnia masa tuszy jeleni byków pozyskanych w minionym sezonie to 131,9 kg przy średniej masie poroża 5,09 kg.

Najwięcej jeleni zostało pozyskanych spośród osobników w 3 i 4 roku, łącznie 92 byki. Ze względu na formę poroża najczęściej zostało pozyskanych ósmaków (37) oraz myłkusów (23).

Niestety na pozyskane 144 jelenie byki 15 z nich zostało ocenionych przez komisję oceny prawidłowości odstrzału jako odstrzał nieprawidłowy, a dwa z nich zostały ocenione jako odstrzał rażąco nieprawidłowy.

Komisja wyceniła również 2 dzicze oręza. Srebrmedalowego odyńca odstrzelił Jakub

Batko w obwodzie 44 dzierżawionym przez KŁ „Diana” w Krakowie, a medal brązowy otrzymał oręż pozyskany przez autora w KŁ „Grodzisko” w Raciechowicach.

Darz Bór



Mateusz Dudzik
Łowczy KŁ. „Grodzisko” w Raciechowicach, Przewodniczący Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału, Członek Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich, Certyfikowany Mierniczy CIC, lektor PZŁ

Piękno łowieckiej literatury

Marek Piotr Krzemień



od lewej: Włodzimierz Korsak,
Julian Ejsmond, Bolesław Świątorzecki

Często ubolewamy, że z czytelnictwem wśród myśliwskiej braci jest, delikatnie mówiąc, nie najlepiej. Nasuwa się więc oczywiste pytanie jak temu zaradzić? Jak zainteresować przeciętnego myśliwego łowiecką literaturą? A może zwróćmy się do najmłodszych czytelników naszego „Myśliwca”, którzy przecież, chociaż nie mogą jeszcze uczestniczyć w polowaniach, żywo interesują się pasją swoich ojców.

Miałem na szczęście, że dzieciństwo moje przypadło na czasy, kiedy to rodzice wychowywali swoje pociechy zgodnie z uznawanymi przez siebie wartościami, a nie według lansowanej przez zielonych ideologii. Tak więc, skoro mój ojciec był myśliwym, to i dla mnie, jako dziecka polowanie, w którym często towarzyszyłem ojcu, było czymś normalnym. Normalnym, tak jak czytanie książek, które w moim rodzinnym domu były wszechobecne. Nie tylko były one czytane, ale dziś określiłbym to, że z nimi obcowano. Moje przekonanie wynika z uwagi, jaką rodzice przywiązywali do ich kształtu edytorskiego. Miało to też swoje konsekwencje i w moim przypadku.

Jako dziesięciolatek z okazji kolejnych imienin dostałem od rodziców piękne albumowe, bogato ilustrowane przez Tadeusza Gronowskiego, wydanie Pana Tadeusza Adama Mickiewicza. Opasły tom pooglądałem z zainteresowaniem, ale jakoś nie mogłem się zabrać do czytania. Po jakimś czasie tato zachęcił mnie mówiąc, że są w nim ciekawe opisy polowań. Poskutkowało.

Już w pierwszej bowiem księdze znalazłem zawzięty spór Asesora z Rejentem o przewagę ich chartów Kusego i Sokoła. Co prawda nie miałem wówczas pojęcia jak wyglądało polowanie na zające z chartami, ale istotę tego sporu doskonale rozumiałem, jako że ja też uważałem, iż najlepszym psem na świecie jest nasz pointer – Lord.

Z zaciekawieniem więc czytałem dalej jak: *Mężczyźni rozsądzały swe dzisiejsze łowy. Asesora z Rejentem wzmożła się uparta, Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta.*

Już po chwili do sporu dołączyli inni uczestnicy biesiady *Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła, Bo tam, wzmógłszy się nagle, stronnicy Sokoła*

*Na partyję Kusego bez litości wsiedli:
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli.
Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
A najstraszniej pan Rejent był zaciętrzewiony:
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował [...]
Wyczha! puściliśmy razem Ja i Asesor,
razem, jakoby dwa kurki
Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;
Wyczha! poszli, a zając jak struna smyk w pole,
Psy tuż (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
Psy tuż, i hec! od lasu odsądzili kawał;
Sokół smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym o tyle, o palec;
Wiedziałem, że spudłuje; szarak, gracz nie lada,
Czcha! niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój KusyCap!
[...]*

*Asesor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały z postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku [...]
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
Wszystkie złośliwe i ostre. Dawniej czelek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił, na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu, by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
Teraz mu z całej psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze z tych jednemu chciano przeczytać chwały.
Więc zbliżył się i, z wolna gładząc faworyty
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
„Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu [...]*

Istoty tego sporu nie mógł pojąć przysłuchujący się mu Wojski, który powiedział: *O jak, mnie starego to smuci i dziwi!
Cóż by o tym starzy mówili myśliwi,
Widząc, że w tyłu szlachty, w tym panów gronie
Mają sądzić się spory o charcim ogonie...*

Zaciekły ten spór dopiero w XI księdze prze-



myślnym podstępem tak rozstrzygnął Wojski: Właśnie zauważono, że [...] Kot, wykradłszy się z łoża, prześmignął po łące I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące; Tam siedzi, wystraszyć go łatwo z rozsądnika I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku. Bieży Asesor, ciągnąc za obróż Sokoła, Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła. Wojski obu z chartami przy płocie ustawił, A sam się z placką muszą do sadu wyprawił [...] Wtem Wojski krzyknął: „Wycz – ha!” Zając smyk zza płotu Na łąkę, charty za nim, i wnet bez obrotu Sokół i Kusy razem spadli na szaraka [...] Szczwacze pogłaskali psy, a Wojski tymczasem Dobył nożyk strzelecki wiszący za pasem, Oderznął skoki i rzekł: „Dziś równą odprawę Wezmą pieski, bo równą pozyskali sławę; Równa ich była ręczność, równa była praca; Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca, Godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty; Otóż skończony spór wasz długi i zażarty; Ja, któregoście sędzią zakładu obrali, Wydaję wreszcie wyrok: obaście wygrali. Wracam fanty, niech każdy przy swoim zostanie, A wy podpiszcie zgodę”. Na starca wezwanie Szczwacze zwrócili na się rozjaśnione lice I długo rozdzielone złączyli prawice.

Wkrótce jednak, bo już w księdze III czekała na mnie prawdziwa uczta duchowa. To tutaj właśnie nasz wieszcz, o czym mało kto wie, sam był myśliwym, w niedościgniony sposób opisał polowanie na niedźwiedzia:

*Do księdza plebana Dać znać, dodał pan Sędzia,
żeby jutro z rana Mszę miał w kaplicy leśnej; kró-
ciuchna oferta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.
Po wydanych rozkazach nastało milczenie
Każdy dumał i rzucał dokoła wejrzenie,
Jak gdyby kogoś szukał; zwołna wszystkich oczy
Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
Znak to był, że szukają na przyszłą wyprawę
Wódza, i że Wojskiemu oddają buławę [...]
Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,
Nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział [...]
Teraz Wojski z obławą już od matecznika
Postawiwszy szeregi, odwrót Ci zamyka [...]
Strzelcy stali i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się jak łuk naprzód, z uciśnioną w las głową;
Nie mogą dłużej czekać! już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska;
Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,
Krzyżąc, że czy kto prostym chłopem, czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem.
Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,
Potem wciąż kanonada, aż głośniejszy nad strzał
Ryknął niedźwiedź i echem nappełnił las cały.*

Z kończącym swą grą na rogu polowanie Wojski skojarzył mi się natychmiast z Zygmuntem Boberem, łowczym zatorskich stawów, który co prawda niestety jedynie z postury przypominał Wojskiego, to jednak ze swoją nieodłączną sygnałówką sprawiał, że zwykle niedzielne polowanie na kaczki zamieniało się już w prawdziwe łowy.

Chociaż trudno byłoby nazwać Adama Mickiewicza autorem literatury myśliwskiej, to jednak fakt, że wybitny autorytet z dziedziny literaturoznawstwa prof. Władysław Dynak swoją pracą pod tytułem „Z Mickiewiczem na łowach” otworzył „Bibliotekę klasyki łowieckiej”, w której znalazły się takie dzieła jak: „Pierwsze początki terminologii łowieckiej” Wiktora Koźłowskiego, „Opowiadania i nowele łowieckie” Adolfa Dygasińskiego, to twierdzę, że piękno myśliwskiej literatury zacząłem poznawać czytając niezapomniane strofy mistrza Adama.

Gdy skończyłem lekturę tato wyjął ze swojej biblioteki książkę Włodzimierza Korsaka „Rok myśliwego”, dzięki której zacząłem poznawać tajniki polowania. Książka ta stała się moim pierwszym myśliwskim vademecum, z którego garściami korzystałem, przygotowując się do

kolejnych polowań, w których jako nastolatek towarzyszyłem mojemu ojcu, a który, jak sędzę, wziął sobie głęboko do serca słowa Korsaka:

Ma też myślistwo niezaprzeczalnie wielki bardzo wpływ na wychowanie młodzieży. Potrzebująca wyładowania życiowa energia młodości znajduje w niem szlachetne ujście i nie jednego młodzieńca wstrzymała namietność myśliwska od wejścia na złą drogę. Obcując z przyrodą o wszystkich porach dnia i roku uczy się on widzieć i odczuwać jej piękno, kształci swą duszę w kulturze i uwielbieniu tego piękna.

Największe moje zainteresowanie budziły opisy polowań na zwierzynę drobną, jako że tylko taka występowała w podkrakowskim łowisku mojego ojca, zwłaszcza na zające, kuropatwy, kaczki, ksyki, dubelty. We wszystkich tych polowaniach swoje pierwsze kroki stawiałem ze wspomnianym już pointerem Lordem, który, zwłaszcza podczas polowania na kuropatwy, dzięki swoim przyrodzonym cechom – szerokich chodach i pewnej stojce – zgodnie ze słowami autora znakomicie spełniał swoją rolę:

Pies tutaj może chodzić daleko od strzelca, zataczając szerokie koła, by prędzej zwierzynę znaleźć, gdyż na otwartej przestrzeni widać go dobrze i myśliwy, zobaczwszy stojkę, w każdej chwili doń pośpieszyć może.

Dzięki niemu polowanie było nie tylko efektywne, ale przede wszystkim dostarczało niezapomnianych wrażeń.

Któregoś dnia ojciec przyniósł mi kupioną w antykwariacie, jako że wydaną jeszcze przed wojną w Wilnie, książkę Korsaka „Leśne ognisko”. Przeczytałem ją jednym tchem i od tego czasu, gdy siadałem przy ognisku, o którym Korsak pisał: *Zrozumiałem treść jego jako duszy obozowiska ludzkiego [...]*, marzyły mi się opisane w niej polowania na łosie, niedźwiedzie, wilki, głuszcze, cietrzewie, gęsi czy chociażby pełne dynamiki polowanie z ogarami na zające:

Po chwili oczekiwania ozwał się przyciszony sygnał trąbki. Przyłynął z oddali, przytłumiony przez nawisłe śniegi, jak słabe echo dalekiej fanfary, nieśmiały i wiotki, jak te błękitne cienie w koło mnie na jasnym śniegu. To trąbił gdzieś za lasem Ignacy na znak, że puszcza psy [...]. Po dobrym kwadransie gdzieś w ostępie ozwał się ostry jazgot Prymki, potem bas Minora, i oto zagrała cała sfera, jak organy.

Szedł gon coraz bliżej i bliżej, niecąc pożar we krwi myśliwego, cudowną muzyką zalewając cichy świat zaśniewiony.

Zbliżała się nawałnica, oto zamigotało coś przede mną i, jak szary kłębuszek, wytoczył się zając rwąc ostro na kulawy sztych, aż tumany śniegu przyskały na boki. Suchy strzał, szarak zrulował, koziołkując

i rozciągnął się nieruchomo, barwiąc różową plamą niepokalaną biel śniegu.

Zycie pokazało, że dzisiaj, po latach spędzonych wśród pól, lasów i szuwarów, siedząc przy ognisku, takie właśnie polowania sam mogę wspominać. W tym właśnie tkwi siła ogniskowych marzeń.

Włodzimierz Korsak ostatnie lata spędził w Krakowie, gdzie miałem okazję, dzięki mojemu przyjacielowi Andrzejowi Łepkowskiemu, poznać go osobiście podczas jego ostatniego spotkania autorskiego w „Krakowskim Klubie Literatów pod Gruszką”, podczas którego mogłem z nim nie tylko porozmawiać, ale także wykonałem ostatnie jego zdjęcie. W 1983 r., dziesięć lat po śmierci Korsaka, Gorzowskie Towarzystwo Naukowe wydało jego książkę „Tamte polowania”. Muszę się przyznać, że książka ta wpadła mi w ręce dopiero niedawno i dobrze, jako że czytałem ją mając za sobą własny багаż łowieckich doświadczeń.

Wracam jednak do szkolnych lat, które szybko mijały, a wraz z nimi, do czego wówczas nauczyciele przywiązywali szczególną wagę, kolejne przeczytane lektury, wśród których były też dzieła naszego noblisty – Henryka Sienkiewicza, który sam będąc myśliwym, gdzie tylko mógł wplatał opisy polowań. Tak też znajdujemy je zarówno w „Krzyżakach”, „W pustyni i w puszczy”





Henryk Sienkiewicz

czy” czy w „Potopie”. Fragmenty jednego z takich opisów, pochodzący z „Krzyżaków”, tutaj przytoczę:

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak aby będąc sami w ukryciu mieli przed sobą pustą przestrzeń ułatwiającą strzały z kusz i łuków [...].

Sam książę miał w ręku kuszę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco z tyłu trzymali się dwaj „brońcy” z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy prócz toporów mieli jeszcze gotowe napięte kusze dla podania księciu w razie potrzeby. Książęna i Jurandówna nie zsiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy książę ze względu na niebezpieczeństwo od turów i żubrów, przed których wściekłością łatwiej się było w razie wypadku chronić konno niż pieszo [...].

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały

się rogi kurpieskie [...].

Myśliwi wyteżyli wzrok i zaczęli wypatrywać zwierząt [...].

Puszcza roita się od żubrów, turów i dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi [...].

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru [...].

Jakoż po upływie kilku pacierzy na skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór szukając widocznie innego wyjścia [...].

Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapelniali coraz szczelniej leśną łakę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nie tylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszczy jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w nim zamieszanie - dziwili się nie-pomału tej niezmierniej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnie i dwórkach jak żuraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już być nudzić się marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oslepione trwogą i szukające na próżno wyjścia”. Książęna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleni lub łos wspiął się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami [...].

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź [...].

Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się rycząc okropnie na zadnie łapy - skłut go na oczach całego dworu [...].

Pomyślał wtedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewiele panów, na dworach których bawił po drodze, ważyło by się na taka zabawę i że z takimi książętami i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś sprawę i ciężkie przeżyć godziny [...].

Kiedy byłem w dziesiątej klasie z okazji strzeleńia pierwszego w życiu zająca od mojego Ojca chrzestnego dr Czesława Zawieyskiego, nota bene też myśliwego, dostałem niezapomnianą, towarzyszącą mi do dziś książkę „Moje przygody łowieckie” Juliana Ejsmonda, w której autor w poetyckiej formie zawarł całe piękno naszej pasji:

Żywot łowiecki ma w sobie to niezrównanie rozkoszne, że jest cały stopniowym wcieleniem w życie i ziszczaniem się najczarowniejszych snów. Jawa zaś od tych snów bywa najczęściej stokroć jeszcze piękniejsza. Od wczesnego dzieciństwa marzymy o naszym pierwszym zającu i pierwszej kuropatwie... I długo potem pamiętamy ów dzień słoneczny pogodnej jesieni, gdy z prawdziwej fuzji po raz pierwszy ubiliśmy prawdziwą zwierzynę... Z jakąż pogardą wyniosłą spoglądamy odtąd na wrony i sroki, przedmiot naszych niedawnych zapędów łowieckich! A potem następuje ziszczanie się dalszych coraz śmielszych pragnień. Pierwsza kaczka na wieczornym zlocie na wodzie złotej i różowej - o, jakże różowej w blasku naszej promiennej radości! Pierwszy lis - to triumf przebiegłości młodzieńczej nad przebiegłością chytrego zwierza. Pierwszy dzik - to już zdobycie ostróg rycerskich. Pierwszy kozioł w majowy poranek na leśnej polanie z podjazdu... nie strzelony - to pierwsze zwycięstwo w nas poety-mysliwego nad młodym strzelcem. Zwycięstwo to otwiera nam dopiero cały skarbiec łowieckiej poezji... Sny stają się jawą coraz cudniejszą... Pierwsze polowanie na wiosennym ciągu na słonki wieczorem - to pierwsza schadzka miłostna myśliwego z dziewiczą przyrodą... Pierwszy cietrzewi tok - to pierwsza nasza noc miłości z ukochaną naturą. A pod pieśnią głuszcza - po raz pierwszy posłyszana - następują zaślubiny na wieki wieków duszy myśliwskiej z duszą puszczy.

Tutaj nasuwa mi się taka oto refleksja, aby przyjaźnić się z literaturą łowiecką nie trzeba daleko szukać. Wystarczy tylko, aby ktoś nam pokazał, że w obowiązujących młodego człowieka szkolnych lekturach można znaleźć przykłady opisów polowań i to najwyższych lotów.

Wróćmy jednak do Włodzimierza Korsaka, który swoje dzieło „Rok myśliwego” zadedykował Józefowi Weyssenhoffowi pisząc: *Wielkiemu znawcy prawdziwego myślistwa w dowód uznania i wdzięczności poświęca autor.*

Weyssenhoff za mile słowa odwdzieczył się Korsakowi obszerną przedmową, w której napisał między innymi: *Nikt mi przyjemniejszego nie mógł uczynić podarunku jak młody, a tak bardzo doświadczony autor „Roku Myśliwego.*

Po tej wymianie grzeczności Weyssenhoff napisał dalej: *Właściwe łowiectwo zasadza się na wnikińcieniu człowieka w głąb przyrody, która dzika jest tylko ze stanowiska kultury ludzkiej, lecz mądrzejsza od wszelkich dzieł ludzkich. Dla takiego myśliwego wybornym przewodnikiem jest dzieło pana Włodzimierza Korsaka.*

Z Włodzimierzem Korsakiem skojarzyli mi się kolejni pisarze parający się tematyką łowiecką, a których książki zajmują poczesne miejsce w mojej bibliotece: Czesław Miłosz oraz Leopold Pac Pomarnacki.



Julian Ejsmond

Jak wspominał Czesław Miłosz: *Dla mnie i mojego przyjaciela Leopolda Pac Pomarnackiego kultowym autorem był Włodzimierz Korsak. Czytaliśmy jego książki: „Na tropie przyrody”, a „Rok myśliwego” ilustrowany przez samego pisarza rysunkami piórkiem, był dla nas niemal ewangelią.*

Warto tutaj przypomnieć, że byli oni szkolnym kolegami z gimnazjum i liceum w Wilnie i że razem wędrowali po Puszczy Rudnickiej. Wtedy też Miłosz przeżywał fascynację swoim ojcem, namiętym myśliwym, od którego otrzymał jednolufową berdanę, czyścił ją, pomagał robić naboje i zaczynał brać udział w polowaniach na kaczki w dolinie Mereczanki, która stała się pierwowzorem „Doliny Issy”.

Czasy szkolne minęły i drogi ich się rozeszły. Czesław Miłosz, po studiach na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, jako poeta zadebiutował w 1930 roku na łamach Alma



Leopold Pac Pomarnacki

Mater Vilnensis wierszami „Kompozycja i podróż”, a w 1980 roku został laureatem literackiej nagrody Nobla.

Zanim to jednak nastąpiło Czesław Miłosz napisał tak cenną dla nas myśliwych powieść „Dolina Issy”. Powieść ta powstała w Paryżu na początku lat 50. niewątpliwie jako wynik z jednej strony tęsknoty za ojczyzną, a z drugiej ciągle żywych wspomnień z wędrówek po litewskich puszczach, kiedy to, jak sam wspominał, nie myślał, że będzie poetą, ponieważ chciał zostać przyrodnikiem.

W powieści tej jej bohater, 8 letni Tomaszek, przez wielu krytyków uważany za alter ego pisarza, przeżywa przygody będące odzwierciedleniem własnych przeżyć autora.

Pomimo, że sam Miłosz w swoim wykładzie Latającego Uniwersytetu w 2003 roku stwierdził, że książka ta jest literacką fikcją to jednak wspomina równocześnie: *że jako młody chłopiec wśród ptaków trzymany w domu miał także pułchacza, który wypuszczany z klatki pozbywał się efektów przemiany materii prosto na domowy stół*. Tak się składa, że czytając uważnie „Dolinę Issy” natrafiamy na takie właśnie wspomnienie Tomaszka.

Nie wgłębiając się jednak w dysputy krytyków dla nas – czytelników, myśliwych – istotne jest to, że na kartach powieści odnajdujemy wspaniałe i jakże poetyckie opisy polowań. Szczególnie utkwiło mi w pamięci wspomnienie z polowania na głuszcza. Piękne, trzymające w napięciu i jedno z najdłuższych, jakie znalazłem w literaturze. Oto jego fragmenty

Podkradanie się do głuszcza na tokach uchodzi za trudną umiejętność. Jedno nieostrożne stąpienie i już przegrana myśliwego, a Romuald zabierał go ze sobą zgadzając się, żeby z nim razem do głuszcza podchodził. Honor Tomaszka zależał teraz od tego, czy nie zawiedzie zaufania [...].

Przystawali, nasłuchując. W pewnej chwili Romuald ścisnął go za ramię: „To on”, powiedział szeptem. Ale Tomasz nie zaraz chwycił ten dźwięk. Nie więcej niż westchnienie przytłumione przez odległość, tajemniczy sygnał, nie przypominający niczego na świecie. Jakby ktoś kuł – ale nie, jakby odkorkowywał butelki. I też nie to. Uściskali sobie ręce z gajowym, który zaraz zniknął [...].

Tymczasem można podchodzić tak, tylko ostrożnie. On daleko, nie słyszy – zamruczał mu Romuald. – Potem to uważaj [...].

Dźwięk odzywał się teraz już wyraźniej. Jakby wydzierane z wysiłkiem brzmiało tek-ap, tek-ap, coraz prędsze.

Taka scena trwa w pamięci na zawsze. Przede wszystkim olbrzymiość osin, jeszcze większych przez

oświetlenie perłowe, ni to nocy, ni to dnia, a między ich konarami już jaskrawość zapowiadająca wschód słońca. Korzenie, jak gigantyczne palce wczepione w wilgotny mrok, pęd walców w górę, w światło [...].

Tomasz naśladował we wszystkim Romualda. Kiedy ten odwrócił się i dał znak, zatrzymał się. Więc już. Teraz będą tylko skakać. Głuszcza przerwał. Cisza. Wysoko przeleciały drobne ptaszki z ostrym świergotem. Znów zaczynał. Tek-ap, i coraz prędszej, coraz prędszej, aż nowy odgłos się dołączył – jakby ktoś ostrzył nóż – i wtedy Romuald dał skok, drugi i stał nieruchomo. Tomasz nie ruszył się wcale, bo bał się, zanim nie podchwyci tempa. Ale w momencie, kiedy głuszcza zaczynał nową serię, był już przygotowany i słysząc szlifowanie skoczył równocześnie z Romualdem. Raz, dwa, trzy – pojął, że tyle czasu ma się do rozporządzenia, bo ptak głuchnie i można nawet hałasować, byle zaraz zamienić się w martwą rzecz [...].

Głuszcza, wysoko, w luce między świerkami. Zadzierając głowę, przyklekając na mchu, Tomasz oglądał go zza pnia. Wydał mu się mały, prawie jak kos. Opuszczone skrzydła, ukośnie sterczący wachlarz ogona, szare na tle zupełnie czarnego świerku, na którym siedział. Plecy Romualda, zgiętego wpół, zanurzały się w iglaste zaslony, zachodził z boku.

Strzał. Tomasz widzi odrywanie się głuszcza od gałęzi, bez żadnego ruchu skrzydłami, długą smugę spadania, słyszy łoskot uderzenia o ziemię, drugie echo za echem strzału. Przeciąga językiem po spieczonych wargach. Jest w nim szczęśliwość i dziękczynienie Bogu.

Kolega Czesława Miłosza ze szkolnej ławy, Leopold Pac Pomarnacki, podobnie jak poeta, w młodości chciał zostać przyrodnikiem, tyle że on swoje marzenia zrealizował i poświęcił się lasom i łowiectwu, jako wieloletni inspektor ds. łowiectwa Lasów Państwowych w Radomiu. Swoje długoletnie doświadczenia zawarł w książce „A było to w kniei”. We wstępie do niej napisał: *Niniejszy tomik zawiera wspomnienia z długich lat myśliwskiego życia. Niektóre z opisanych dawnych polowań są dziś zakazane i należą do przeszłości.*

O ile to, że nie polujemy dziś na głuszcza, cietrzewie czy bataliony ma swoje przyrodnicze uzasadnienie, o tyle to, że za sprawą niczym nie uzasadnionych wymysłów polityków ojciec czy matka nie może swojego syna czy córki zabrać na polowanie i w ten naturalny sposób przekazać mu swoją pasję, tego pojąć już nie sposób.

Fragment, w którym Pomarnacki opowiada o tym, jak będąc 13-letnim chłopcem upolował swoją pierwszą w życiu kaczkę, jest mi szczególnie bliski, ponieważ przypominał moje własne łowieckie początki, jako że miałem dokładnie

tyle lat co autor, gdy w Zatorze na oficjalnym zbiorowym polowaniu strzeliłem pierwszą w życiu krzyżówkę.

A było to tak: stałem wraz z ojcem, któremu, jak zwykle, towarzyszyłem na zbiórce przed ostatnim miotem sierpniowego polowania na kaczki w Zatorze, kiedy prowadzący je Jan Bober zapytał mnie, a ty Marek, ile kaczek dzisiaj strzeliłeś?

Zdziwiony odparłem, że żadnej. *Ja przecież nie poluję* – dodałem. Wówczas on zwrócił się do mojego ojca: *Józek, dość się już nastrzelaleś. Daj teraz szansę Markowi*. Tato mając publicznie wyrażoną zgodę chętnie dał mi swoją dwunastkę, z którą dumnie pomaszerowałem na stanowisko. Chwilę później w promieniach zachodzącego słońca najpierw odbierałem z kufy Lorda moją pierwszą w życiu krzyżówkę, a następnie jej farbą z rąk ojca zaznaczony na czole przeszedłem pierwszy w życiu myśliwski chrzest. I co to komu przeszkadzało?! c.d.n.

Marek Piotr Krzemień



Autor z Lordem



LATO

Ryszard Adamus





pasje

WROCŁAWSKI MAGAZYN EKOLOGICZNO-ŁOWIECY



www.wroclaw.pzlow.pl/magazyn-pasje



Targi HUNT EXPO 2025 w Krakowie: Myśliwi na pierwszej linii pasji

Wiosna w Krakowie miała w tym roku wyjątkowy smak – i to nie tylko ze względu na budzącą się do życia przyrodę. To właśnie w sercu Małopolski odbyło się jedno z najbardziej ekscytujących wydarzeń dla miłośników łowiectwa, leśnictwa, survivalu i strzelectwa sportowego. Mowa oczywiście o Targach HUNT EXPO 2025, które w dniach 25–27 kwietnia przyciągnęły ponad 10 tysięcy odwiedzających i blisko 160 wystawców. Ale wśród wszystkich tych atrakcji to stoisko Polskiego Związku Łowieckiego w Krakowie przyciągało uwagę. I właśnie o nim chcę dziś opowiedzieć nieco więcej.

Za kulisami sukcesu – ludzie z pasją

Na pierwszy rzut oka – stoisko jakich wiele. Ale kto zatrzymał się choć na chwilę, szybko dostrzegł, że to nie kolejna zwykła prezentacja. To ludzie tworzyli klimat tego miejsca – cisi bohaterowie, którzy z własnej inicjatywy, często poświęcając na to wydarzenie parę dni z własnego urlopu, przychodzili, by opowiadać o łowiectwie, o naturze, o pasji. To nie był tylko obowiązek – to była misja, w którą wierzą.

Doświadczeni myśliwi, którzy niejedno już widzieli – zarówno na wcześniejszych edycjach EXPO, jak i na dziesiątkach pikników, lekcji przyrodniczych czy plenerowych wydarzeń – stworzyli zgraną ekipę, która wie, jak zainteresować, poruszyć i uczyć. Rocznie uczestniczą w ponad stu wydarzeniach – od przedszkoli po kluby seniora. I za każdym razem z tym samym entuzjazmem. Myśliwi z Komisji Dian, Komisji Promocji Łowiectwa wspierani na targach przez kolegów z Komisji Tradycji, Etyki i Kultury Łowieckiej.

Wspólna sprawa – siła współpracy

Tegoroczne EXPO było też dowodem na coś, co często umyka uwadze, że w PZŁ Kraków naprawdę działa współpraca. Ramię w ramię z myśliwymi z Komisji Sokolniczej i Kynologicznej oraz Klubu Wabiarza i naszymi niezastąpionymi sygnalistami stworzono przestrzeń, która nie tylko informowała, ale też inspirowała. Pokazy, rozmowy, wspólne działania – wszystko to pokazało, jak różnorodne, a zarazem spójne może być środowisko łowieckie. Prezentował się też na stoisku Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej Oddział Krakowski im. Andrzeja Łepkowskiego.

Nie sposób pominąć też Komisji Łuczniczej – ich obecność przypominała wszystkim, że łowiectwo to nie tylko broń palna, ale też sztuka, tradycja i dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie. Ich pokazy były czymś więcej niż tylko widowiskiem – to było doświadczenie.

Miejsce, które przyciąga – i zostaje w pamięci

Stoisko PZŁ Kraków nie tylko przyciągało wzrok, ale też zostawiało ślad w pamięci. Roślinność, sadzonki drzew, przyjazny wystrój – wszystko tworzyło atmosferę spotkania z naturą. Było nowoczesnie, ale nie oderwanie od korzeni. Każdy, kto tam zajął, czuł, że jest w miejscu, które opowiada historię – nie tylko o łowiectwie, ale o relacji człowieka z przyrodą.

Materiały edukacyjne – ulotki, plakaty, filmy – to jedno. Ale prawdziwą wartość tworzyli ludzie, którzy z pasją dzielili się wiedzą. To oni odpowiadali na pytania, rozwiewali wątpliwości i ... zarażali pasją.

Edukacja jako misja i sposób bycia

Jesteśmy nie tylko organizatorami pokazów. Jesteśmy edukatorami i to coraz bardziej świadomymi swojej roli. Stoisko na HUNT EXPO to nie tylko prezentacja – to realna praca nad świadomością społeczną. Łowiectwo to nie tylko hobby – to także odpowiedzialność, ekologia, kultura.

Społeczna twarz myśliwego

Czasem łatwo zapomnieć, że myśliwi to nie tylko ludzie z lornetką i strzelbą. To aktywni członkowie społeczności. Organizatorzy wydarzeń, edukatorzy, promotorzy zdrowego stylu życia. Ich rola w ochronie przyrody i zachowaniu równowagi ekologicznej jest nie do przecenienia. A targi takie jak HUNT EXPO to idealna okazja, by to pokazać.

Na zakończenie – spojrzenie w przyszłość

Targi HUNT EXPO 2025 były bez dwóch zdań ogromnym sukcesem. Ale to, co naprawdę zrobiło wrażenie, to nie liczby, a ludzie. To ich zaangażowanie, ich wiedza i ich serca sprawiły, że stoisko PZŁ Kraków było miejscem, do którego się wraca – choćby myślami.

Bo łowiectwo to nie tylko tradycja – to coś żywego. Coś, co się rozwija, zmienia i dostosowuje, ale nigdy nie zapomina o swoich korzeniach. I właśnie dzięki takim wydarzeniom i takim ludziom możemy mieć pewność, że będzie komu tę tradycję dalej pielęgnować.

Do zobaczenia na kolejnej edycji HUNT EXPO – już teraz serdecznie zapraszamy!



Barbara Halek – krakowska Diana, Przewodnicząca Komisji Promocji Łowiectwa ZO PZŁ w Krakowie oraz członkini Komisji Dian. Prowadzi media społecznościowe krakowskiego łowiectwa dokumentując i promując wydarzenia z udziałem lokalnych środowisk myśliwskich



Targi HUNT EXPO i 1. Festiwal FAST – duet, który przyciągnął tłumy

Niemal 11 000 osób przybyło w wiosenny weekend 25-27 kwietnia do EXPO Kraków z zamiarem odwiedzenia stoisk 157 wystawców z branż łowieckiej, strzeleckiej i survivalowej. Zwiedzający korzystali ze specjalnych targowych zniżek, degustowali potrawy z dziczyzny oraz sprawdzali swoje umiejętności na strzelnicach w ramach 1. Festiwalu Aktywności Strzeleckich FAST. Dużym zainteresowaniem cieszył się również program targów prowadzony na dwóch scenach, na który składały się debaty, praktyczne prelekcje i liczne pokazy.

Wspólna pasja i wymiana doświadczeń

W czasie targów 157 wystawców na dwóch halach zaprezentowało szeroki asortyment produktów dla myśliwych oraz osób zainteresowanych strzelectwem sportowym i survivaliem. Wystawcy HUNT EXPO zapamiętali z tej edycji ogrom odwiedzających, którzy chętnie dzielili się swoją pasją i doświadczeniem. Nasze stoisko cieszyło się dużym zainteresowaniem, szczególnie w sobotę, kiedy targi odwiedziły prawdziwe tłumy. Rozmowy z pasjonatami broni, optyki, termowizji były dla nas nie tylko źródłem inspiracji, ale też cennego feedbacku. To właśnie dzięki takim spotkaniom rozwijamy ofertę i rośniemy jako firma – razem z naszymi klientami – podsumowuje Aleksandra Będowska, dyrektor sprzedaży w Kolba.pl.

Niesamowitą atmosferę, która towarzyszyła targom, oraz liczne, pełne pozytywnej energii rozmowy z klientami wspomina też Sebastian Kania z krakowskiej firmy Knieja: *Targi HUNT EXPO to dla nas wyjątkowy czas – pełen pasji, zaangażowania i bezpośrednich spotkań z klientami. Ogromne zainteresowanie naszym stoiskiem, szczególnie nowościami, takimi jak Maral 4X i Bar 4X, przerosło nasze oczekiwania. Atmosfera wydarzenia i możliwość rozmów z pasjonatami oraz profesjonalistami sprawiają, że to idealne miejsce na premiery i rozwój oferty.*

Podwójna dawka wiedzy i praktyki

Debata na aktualne, budzące emocje w branży tematy, praktyczne prelekcje, pokazy i konkursy sprawiły, że widownie obu scen były wypełnione przez cały czas. Zwiedzający mieli okazję zobaczyć pokazy psów ras myśliwskich, dowiedzieć się więcej o sokolnictwie i łucznictwie, czy wysłuchać historii o tajemniczym świecie dra-

pieźników w wierzeniach, przesądach i łowieckich rytuałach. Skorzystali też z praktycznych prelekcji, m.in. o rodzajach pozwoleń, zasadach przechowywania, czyszczeniu i konserwacji broni, wyborze optyki, czy bezpieczeństwie i świadomości w strzelaniu. Najwięcej emocji wzbudziły dyskusje, takie jak debata społeczna z działem m.in. prezesa Naczelnej Rady Łowieckiej Marcina Moździonka „Polska bez łowiectwa – skutki ekonomiczne i ekologiczne”. Rozmowa toczyła się wokół analizy konsekwencji całkowitego zakazu łowiectwa w Polsce lub wyeliminowania obecnego modelu i wprowadzenia tzw. „myśliwa zawodowego”, utrzymywanego ze środków budżetu państwa czyli na koszt podatnika, bo przecież budżet państwa tworzony jest z podatków. Uczestnicy przedstawili argumenty zarówno za, jak i przeciw istnieniu takich rozwiązań, odnosząc się do kwestii ekologicznych, społecznych i gospodarczych. W konkluzji zgodzili się, że temat wymaga głębokiej refleksji i dalszych badań. Debata uwiarygodniła potrzebę większej transparentności działań myśliwych oraz szerszej edukacji społeczeństwa w zakresie ochrony przyrody – podsumował pomysłodawca i moderator debaty dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. URK.

Wyjątkowa atmosfera znakiem rozpoznawczym HUNT EXPO

Unikalnej, wyróżniającej HUNT EXPO na tle innych wydarzeń, atmosfery dodały targom dodatkowe atrakcje, takie jak wielka wystawa broni kolekcjonerskiej, na której zaprezentowano ponad 300 jednostek broni (historycznej, współczesnej, sportowej, czarnoprochowej), strzelnice oferujące możliwość sprawdzenia swoich umiejętności na różnych torach, zawody strzeleckie zorganizowane przez Krakowski Klub Sportowy Precyzja. Była też możliwość skosztowania dań kuchni myśliwskiej i podziwiania prezentowanych przez modelki autorskich, utrzymanych w mistycznym i drapieżnym stylu kostiumów Marty Pietrzyk.

Organizatorzy już dziś zapraszają na kolejną edycję targów HUNT EXPO i Festiwalu Aktywności Strzeleckich FAST, które odbędą się 24-26 kwietnia 2026 w EXPO Kraków.

Targi w Krakowie Sp. z o.o.



TROFEISTYKA

– ptactwo



Trofeistyka łowiecka wśród myśliwych nie jest szczególnie doceniana, a jeśli już jest, to głównie ze względu na preparację np. wieńców jeleni, parostków rogaczy, łopat danieli czy dziczych orzęzy. W tej kwestii trzeba zmienić sposób myślenia myśliwych, bowiem każde pozyskane trofeum ma swoją wartość łowiecką. Przede wszystkim obowiązkiem każdego myśliwego jest poszanowanie trofeów, jak nakazuje, niezależnie od wrodzonej przyzwoitości, „Zbiór zasad etyki łowieckiej”, wedle którego „Myśliwy darzy trofea łowieckie poszanowaniem, prawidłowo je preparuje”. Niejednokrotnie pozyskaniu temu towarzyszą niezapomniane przeżycia lub historie, którymi dzielimy się na różnego rodzaju spotkaniach w gronie rodzinnym lub wśród myśliwych. Trofeum to inaczej zdobycz, dowód odniesionego sukcesu, więc należy się nim chwalić, eksponować, przyozdabiać nim swoje pokoje, salony i domy myśliwskie. Coraz częściej trofea są ważnym elementem wystroju wnętrz pensjonatów czy restauracji. Pięknym uzupełnieniem w eksponowaniu wieńców jeleni, parostków rogaczy czy też orzęzy dzików będą medaliony np. bażanta, słonki. Sama preparacja ptactwa jest na pewno skomplikowana i bardziej czasochłonna od pozostałych. Ptactwo łowne nie podlega wycenie, jednak trofeum z niektórych ptaków przynosi nie mniej satysfakcji niż z grubego zwierza. Dziś polskim myśliwym pozostały polowania na cztery gatunki dzikich kaczek, trzy gatunki dzikich gęsi, jarząbki, bażanty, kuropatwy, grzywacze, słonki i łyski. W ostatnim czasie panuje wśród niektórych myśliwych trend specjalizacji łowieckiej. Jedną z grup charakteryzuje się polowaniem na zwierzynę grubą, drapieżniki, zaś na pióro polują już nieliczni. Trzeba przeciwstawić się takim postawom, gdyż prawdziwemu myśliwemu powinno zale-

żeć, aby na rozkładzie miał jak najwięcej pozyskanych różnych gatunków zwierzyny. Trofeum może być cały wypchany ptak lub zwinięty w naturalny sposób pióra z kupra kaczora, a także kolorowe pióra ze skrzydeł, które można ładnie ułożyć i zrobić z nich przypinkę np. do myśliwskiego kapelusza. Myśliwi, doceniajmy w naszej pasji też polowanie na pióro i poszanowanie tego pięknego trofeum.

Trofeum z ptactwa to: całe spreparowane ptaki, medaliony, fragmenty upierzenia (liry, wachlarze), gastrolity.

Gastrolity – małe kamyczki znajdujące się w żołądkach (połknięte) niektórych ptaków, pomagające w rozcieraniu twardego pokarmu. W przypadku gęsi i cietrzewia stanowią dodatkowe trofeum z tych ptaków.

Ostrołotka – lotka w skrzydle cietrzewia i słonki, tradycyjne trofeum myśliwskie. Ostrołotka słonki – zwana też piórkiem malarskim – wykorzystywana była przez malarzy do robienia cienkich kresek, ponieważ miała ostre zakończenie.

Bródka – krótkie piórko u nasady ogona słonki.

Z myśliwskim „Darzbór”



Dariusz Knap

Członek Komisji Edukacji NRE, prezes Oddziału Chęcińskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, edukator łowiecki, kronikarz, autor wielu artykułów o tematyce łowieckiej, twórca rzemiosła artystycznego o tematyce myśliwskiej



Z sercem i z pasją

Hubert Ogar



Na przestrzeni wieków artyści udowodnili, że ich wyobrażenia i możliwości są wręcz nieograniczone dzięki temu, że tworzyli z serca, a ich wytwory pracy przetrwały i wzbudzają podziw w kolejnych pokoleniach. Nie chcę, nie mogę i nawet nie wypada, abym porównywał się z nimi... Choć tworzę z sercem, robię to, co kocham i chcę w inny sposób utrwalić i przybliżyć innym świat przyrody. Do tego potrzebny mi jest jedynie zwitek miedzianego drutu, czas, spokój i oczywiście pomysł.

Od dziecka interesowałem się otaczającą mnie przyrodą. W wolnych chwilach wędrowałem i obserwowałem otaczający mnie świat roślin i zwierząt, co miało późniejszy wpływ na życiową drogę jaką wybrałem. Poświęciłem się bezgranicznie przyrodzie jako myśliwy i leśnik spełniający swoje pasje, pomiędzy przedgórzem Gór Świętokrzyskich a Równiną Radomską. Jak niegdyś Wiktor Kozłowski – leśnik, myśliwy, patriota – wybrałem ten sam teren jako miejsce realizacji swojej życiowej pasji i pracy zawodowej.

Zawsze z uwagą obserwowałem wszelakie detale otaczającej przyrody, a w szczególności świata bujnej roślinności, które w mojej duszy (boję się nazwać „artystycznej”) zajmowały szczególne miejsce. Fotografowanie, robienie zielników i opisywanie ich nie wyczerpywało jednak mojej inwencji twórczej. Szukałem innego sposobu, dążyłem do utrwalania piękna szaty roślinnej, a w szczególności liści, które same w sobie są (nie tylko z punktu widzenia biologicznego) podstawą życia drzewa, ale też misternym dziełem sztuki, stworzonym przez tysiące lat ewolucji.

Różnorodność kształtów, kolorów, ułożenia na pędzie, wielkości, zakończenia brzegów czy też sieci drobnych nerwów, widocznych pod słońce sprawiają, że liść jest małym dziełem sztuki, wartym uwagi i uwiecznienia w sposób szczególny. Drobne miedziane zwoje drucików dały nieograniczone możliwości tworzenia modeli liści, a nawet całych kompozycji gałązki z owocami czy nasionami.

Jak żywe... a jednak miedziane

Ze względu na sezonowość liści, czas wykonywania prac przypadał przeważnie na okres jesienno-zimowy. Było istotne, abym w czasie wegetacji roślin zgromadził materiał w formie zielników, klasyfikując je jednocześnie do poszczególnych gatunków drzew czy krzewów. Pamiętam z okresu studiów zajęcia z dendrologii, co ułatwiło mi gromadzenie i odpowiednie konserwowanie materiału zielnikowego. Wtedy też rodziły się pomysły, jak utrwalić liście, owoce czy nasiona, ale też w jaki sposób wykonać model tak, aby zachować to piękno i indywidualność każdego liścia. Pierwsze wykonane prace to były miłorząb dwuklapowy i dąb czerwony. Gatunki te były modelami topornymi, ciężkimi, nie ukazującymi tej lekkości naturalnego liścia. Osiągnięcie prawdziwego odwzorowania mogło dopiero być wykorzystane do propagowania wiedzy o liściach, a tym samym o drzewach czy krzewach, a w rezultacie o lesie i całej przyrodzie.

Gromadzone wcześniej różne miedziane druciki dopiero dały swobodę i możliwości pracy. Odkryłem wówczas ogromne możliwości tego materiału, który posłużył do realizacji wcześniej zamierzonego celu. Pragnąłem uwiecznić, w sposób jeszcze dotąd nieuwieczniony, liście jako małe dzieła sztuki. Do wykonania kolejnych modeli zacząłem dobierać odpowiednie druciki, ich kolor i grubość do poszczególnych gatunków, a efekty przerosły moje wyobrażenia. Surowiec w postaci miedzi szybko się kończył. Nie myślałem o tym, aby go kupić, jednak już niesprawne urządzenia dały mi możliwość zdobywania kolejnego materiału i w ten sposób w pochodzące z recyklingu miedziane druciki mogłem tchnąć nowe „życie”. Po krótkim czasie cała rodzina, a później znajomi dostarczali mi ze swoich już nieczynnych, zepsutych urządzeń materiał w postaci zwojów miedzianych drutów. Dzięki temu powstawały kolejne prace.

Misterne rękodzieło wymaga czasu i spokoju

Pomimo, że wykształcenie mam przyrodnicze i znam świat flory i fauny dość szczegółowo i wnikliwie, to wykonując jakikolwiek model, musiałem opierać się na przygotowanych wzorach, aby zachować proporcje, odpowiednie kształty, długość ogonka liściowego i wiele innych drobnych, ale ważnych detali. Dlatego ważną pracą było zgromadzenie materiału w postaci liści, nasion i owoców o cechach wzorcowych i charakterystycznych dla poszczególnych gatunków. Niekiedy modele powstawały przez wiele lat, ponieważ w jednym roku gromadzone były liście, ale na nasiona trzeba było czekać czasami rok, a nawet dwa i więcej. Modele owoców powstawały w czasie, kiedy były świeże owoce, bo ciężko było je zachować na późniejszy czas. Dopiero gdy wszystkie elementy były gotowe, można było je połączyć tak, aby powstała naturalnej wielkości gałązka z liśćmi, owocami lub nasionami – tak jak jest w naturze.

Przystępując do wykonywania modelu skrupulatnie i z rozwagą doбираłem odpowiednie druciki do poszczególnych gatunków drzew tak, aby nadać naturalną teksturę liścia. Do wykonania liści małych, drobnych, ażurowych doбираłem cienkie jasne druciki, zaś do liści dużych, grubych, skórzastych – ciemniejsze i grubsze. Wiadomo, że liście w naturze mają kolory od jasnego, po ciemną zieleń – tego koloru drucików nie było, jednak odpowiedni dobór odcieni kolorów, które były dostępne, rekompensował naturalną zieleń.

Materiał zielny zebrany, druciki odpowiednio dopasowane, to czas, kiedy można zabrać się do wykonywania prac, do których nie używam żadnych narzędzi oprócz nożyczek do odcinania odpowiedniej długości drucików. Druciki są na tyle giętkie, a zarazem sztywne, że udaje się z łatwością zaplatać oczko za oczkiem. Praca ta





jest żmudna i czasochłonna, wiele godzin pracy a nawet dni, aby upleść jeden liść, a przeważnie na gałązce jest wiele liści z nasionami. Sporo czasu należy spędzić nad odpowiednim zakończeniem brzegów blaszek liściowych o drobnych nerwach na liściu, bo to te detale dają w dużej mierze cechy danego gatunku. Pierwsze prace powstały na przełomie 2001 i 2002 roku, więc minęło ponad dwadzieścia lat, a wykonanych prac w kolekcji jest zaledwie lub aż 35 różnych gatunków drzew i krzewów, a kolejne nadal powoli powstają...

Sztuka i edukacja idą w parze

Nie chciałem, aby wykonane modele zostały schowane w kartonach lecz żyły swoim życiem i mogły zachęcać do poznawania świata, otaczającej przyrody. Początkowo zaczęły służyć jako eksponaty edukacyjne ciesząc się dużym zainteresowaniem. Prezentowane były na wielu wystawach. Pierwsza była wystawa w Centrum Edukacji Przyrodniczej w Nadleśnictwie Marcule. Później prace trafiły na wystawę w Ośrodku Kultury Leśnej w Gołuchowie, gdzie kilka z nich można oglądać na wystawie stałej. Prace prezentowane były też na wystawach w arboretum w Wojsławicach, w arboretum SGGW w Rogowie, Ogrodzie Botanicznym UMCS w Lublinie, czy w Instytucie Badawczym Leśnictwa w Sękocinie Starym.

Dużym wyróżnieniem dla mnie osobiście jest docenienie moich prac podczas XI (2018 rok) i XIII (2024 rok) Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Artystycznej Leśników w Gołuchowie, gdzie otrzymałem wyróżnienie w kategorii rzeźba. Zostałem także odznaczony podczas rozdania Nagród Lasów Państwowych im. Adama Loreta za 2019 r. w dziedzinie „sztuka” za popularyzację przyrody jako inspiracji do działań twórczych w dziedzinie drutoplastyki oraz za praktyczne wykorzystanie sztuki w edukacji leśnej.

To nie koniec. To dopiero początek

Tworzenie kolekcji drzew i krzewów cały czas trwa i powstają nowe modele, a w głowie rodzą się nowe pomysły, aby przekraczać kolejne granice, tworzyć projekty, nowe prace związane z przyrodą, ale tym razem związane ze zwierzętami. I tak pomysł zrodzony w głowie został wcielony w realny projekt. Tym razem zacząłem od tworzenia

naturalnej wielkości poroży jeleniowych. Był to jeszcze bardziej wyniosły projekt, który pochłaniał dziesiątki godzin, ale efekt był niesamowity. Obecnie wykonałem naturalnej wielkości poroża losia, jelenia, daniela i sarny. Łącznie 7 prac, najbardziej okazałe to duże poroże jelenia i losia, a skromniejsze – kozła sarny. Czy było warto poświęcić tyle czasu dla sztuki? Dla edukacji? To chyba pytanie retoryczne i należy pamiętać, aby robić to, co się kocha, z sercem i pasją, a efekty przerosną nasze oczekiwania...



Hubert Ogar Redaktor naczelny „Nemroda Radomskiego”, członek Komisji Edukacji i Komisji Szkoleniowej NRŁ, wieloletni członek Zarządu Koła., przewodniczący Komisji Kultury i Promocji ZO PZŁ w Radomiu. Laureat konkursów fotograficznych i literackich. Autor wielu książek i artykułów o tematyce przyrodniczo – łowieckiej



Małe Intelktualia Myśliwskie



W dniu 26 czerwca 2025 roku w sali Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu pod nr 5, naprzeciwko wejścia do Uniwersytetu Warszawskiego, po raz pierwszy odbyły się „Małe Intelktualia Myśliwskie” zorganizowane przez Klub Świętego Huberta.

Świetne wykłady wygłosili trzej panowie profesorowie: Henryk Okarma (Gatunki inwazyjne w Polsce), Piotr Tryjanowski (Nie ma darmowego pozyskania energii – każda megawatogodzina powoduje koszt dla zwierząt) oraz Marek Wajdzik (Zwierzęta w mieście – atrakcja przyrodnicza czy problem społeczny?).

W spotkaniu uczestniczyli między innymi: prezydent Bronisław Komorowski, były wicepremier i minister rolnictwa Roman Jagieliński, były sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw We-

wnętrznych i Administracji Andrzej Brachmański, senator Jarosław Lasecki. Po wykładach wywiązała się bardzo ciekawa dyskusja, co dało nam przeświadczenie o celowości i trafności tematów wykładów. Jako Klub Świętego Huberta widzimy potrzebę organizowania między Intelktualiami (które organizowane są raz na dwa lata) tej formy spotkań, pod wspólną nazwą „Małe Intelktualia Myśliwskie”.



Adam Benedykt Bisping
inż. zootechnik. Członek PZŁ od 1979 roku od samego początku związany z KŁ Darz Bór w Krakowie. Łowczy w KŁ Darz Bór, członek Kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, Członek Komisji Oceny Prawdopodobieństwa Odstrzału



Bazant

– godny przeciwnik

Zbigniew Ciemniowski



... Bez dobrego psa, bez dobrego wyźła polowanie na koguty w ich naturalnym środowisku jest prawdziwą męczarnią dla myśliwego, a realna skuteczność jego wysiłku każe wątpić w sens takiego polowania. Mam na myśli polowanie indywidualne na prawdziwie dzikie bażanty. Polujący jedynie w łowiskach z bażantem wolierowym nigdy nie zderzą się z prawdziwą trudnością, a tym samym z prawdziwą wartością tego polowania ...

Bażanty, choć oficjalnie nie mają w Polsce statusu gatunku rodzimego, są przecież elementem naszego przyrodniczego krajobrazu od setek lat. Dość powiedzieć, że wzmianki o nich w języku polskim pochodzą już z XV stulecia. Szczegółów technicznych związanych z biologią gatunku oszczędzę czytelnikowi, tym bardziej, że bażanty spotkać można dosłownie wszędzie, od średniejszych ogródków działkowych poczynając i kończąc na rozległych polach, szczególnie leżących w dolinach rzek czy wzdłuż

jakichkolwiek cieków. Ten piękny ptak jest stałym elementem naszego przyrodniczego krajobrazu za sprawą wielkiej zdolności do akceptacji różnych środowisk oraz inteligencji dającej mu szansę przetrwania pomimo ludzkiej presji na jego przestrzeń życiową. Sprowadzono te ptaki do Europy nie tylko z powodu pięknego wyglądu, ale także ze względów praktycznych. Bażant od zawsze należał do atrakcyjnych gatunków łownych.

Wraz ze spadkiem w Europie liczebności kuropatwy i zająca rosnąca populacja bażantów nabiera coraz większego znaczenia w łowiectwie. W niektórych krajach europejskich zbudowano wokół polowania na te ptaki prawdziwy przemysł quasi łowiecki, że przywołam przykład Anglii, Francji, Czech czy Danii. W Anglii, gdzie system ten doprowadzono niemal do perfekcji, zasiedla się łowiska dziesiątkami milionów hodowanych w tym celu bażantów, a polowania przynoszą właścicielom łowisk dochody idące w miliardy funtów. Nie o takim polowaniu na bażanty chcę, rzecz jasna, mówić i nie takie polowania pokazywać.

Jeden z obwodów mojego koła, był i jest nadal zasobny w drobną zwierzynę. Stan bażantów był zawsze niezły, a nawet przez wiele lat dobry za sprawą działających w la-

tach 70. i 80. XX wieku bażantarni zlokalizowanych w sąsiednich obwodach. Bażantarnie pozostały już jedynie w ludzkiej pamięci, ale bażanty ciągle trzymają się krzepko, mało sobie robiąc z nowoczesnego rolnictwa i wszechobecności człowieka. Na szczęście w moim obwodzie, ale też w sąsiednich, pozostało sporo nieużytków porastających podmokłe tereny doliny rzeki Pszczynki i zasilające ją rowy czy ciek wodne. Na pograniczu tych terenów oraz dobrze zagospodarowanych pól uprawnych o nie-



zbyt wielkim areale, poprzecinanych niewielkimi łaskami z licznymi starymi dębami, bażanty czują się znakomicie. Polowanie na bażanty, obok polowania na kaczki, jest dla mnie podstawowym polem łowieckiego wykorzystania wyzła. W naszym kole od dziesięcioleci polujemy na bażanty indywidualnie, czasem jedynie rozpoczynając sezon wspólnym polowaniem.

Jak poluję? W zasadzie zwykle sam lub z synem na terenie naszego łowiska, które oprócz niezłego stanu bażantów ma jeszcze jedną wielką zaletę – jest blisko. Do granicy obwodu mam 11 kilometrów, tak więc od decyzji o wyjeździe do wyjścia w teren mija nie więcej niż 30 minut. W ostatnich latach poluję na koguty nawet dwa, trzy razy w tygodniu, przy czym najczęściej są to wyjazdy nie trwające dłużej niż trzy, cztery godziny. Wyjątkowo tylko zdarza się powrót z pustymi trokami. Zwykle ten niedługi czas polowania, wsparty jednak dobrą znajomością łowiska oraz świetną pracą psów, pozwala zawiesić na trokach parę kogutów. Zdarzają się też niezwykle dobre dni z jeszcze lepszym rozkładem. Polujemy z synem od samego początku sezonu do najwyżej połowy stycznia, koniec kalendarzowego sezonu pozostawiając ptakom na spokojne przygotowanie się do trudnej końcówki

zimy. Ostatnio nieco złagodziłem to podejście, gdyż słowo „zima” w tradycyjnym rozumieniu przechodzi powoli do lamusa i bażant praktycznie nie cierpi głodu, a jego zachowanie w łowisku niewiele zmienia się w stosunku do okresu późnej jesieni. Przepraszam, jest jedna różnica – koguty robią się coraz ostrożniejsze, co czyni polowanie jeszcze bardziej atrakcyjnym, a pracę psów bardziej wyrafinowaną.

Co można powiedzieć o samym polowaniu? Podstawową cechą polowania na koguty, a przy tym wielką, z mojego punktu widzenia, jego zaletą jest niepowtarzalność sytuacji łowieckich. Po pierwsze, poluje się w bardzo różnej przestrzeni przyrodniczej. Od gęstych trudnych zarówn dla psa, jak i dla myśliwego trzcinowisk, poprzez rozległe powierzchnie nieużytków z kępami nawłoci czy krzewów, wysokimi niekoszonymi trawami, pokrzywami do obrzeży cieków wodnych, niewielkich bagienek lub kukurydzisk. Po wtóre, bażanty znakomicie wykorzystują na swoje kryjówki wszelkie naturalne przeszkody i utrudnienia dla psa i myśliwego. Gdy ostatecznie kogut, przyparty do muru przez psa i myśliwego, podrywa się do lotu, zawsze robi to tak, aby utrudnić strzelcowi możliwość oddania precyzyjnego strzału. Szczególnie stare

koguty są prawdziwymi mistrzami kamuflażu, lawirowania przed pracującym wyzłem i w wyborze najbardziej zaskakującego czasu i miejsca poderwania się do lotu.

Od myśliwego polowanie to wymaga dobrej sprawności i kondycji fizycznej, które pozwalają swobodnie się poruszać w trudnym terenie i jednocześnie kontrolować pracującego wyzła, często niewidocznego w zaroślach. Do tego dochodzi niezbędna umiejętność oddania szybkiego precyzyjnego strzału do błyskawicznie zrywającego się ptaka. Niech nikogo nie zwiedzie pozornie duży cel, jakim jest czasem ponad kilogramowy kogut. Na strzał mamy często ułamek sekundy, a kogut strzelany od tyłu jest celem łatwym do spuszczenia.

Bez dobrego psa, bez dobrego wyzła, polowanie na koguty w ich naturalnym środowisku jest prawdziwą męczarnią dla myśliwego, a realna skuteczność jego wysiłku każe wątpić w sens takiego polowania. Mam na myśli polowanie indywidualne na prawdziwie dzikie bażanty. Polujący jedynie w łowiskach z bażantem wolierowym nigdy nie zderzą się z prawdziwą trudnością, a tym samym z prawdziwą wartością tego polowania. Wyzłom polowanie na dzikiego koguta stawia specyficzne warunki i wymaga od nich specyficznych cech. Wśród wielu na pierwszym miejscu postawiłbym łowiecką inteligencję naszego pomocnika. Pies nauczony schematycznego polowania, a szczegól-

nie pies niewolniczo trenowany do zabawy konkursowej nigdy nie będzie dobrze polował na bażanty. Wyzł musi rozumieć, na czym to polowanie polega, musi rozumieć i przewidywać zachowanie ptaka, musi rozumieć, że ma za plecami strzelca i nie poluje sam dla siebie, wreszcie musi znać teren z całą jego specyfiką. Jednym słowem, wyzł musi być naszym partnerem w polowaniu, a nie jedynie bezmyślnym narzędziem.

Bardzo ważny jest też potencjał fizyczny naszego psiego towarzysza. Jeżeli polujemy dwa, trzy razy w sezonie, z przerwą pomiędzy polowaniami liczoną w tygodniach, to nawet kanapowa wersja wyzła powinna dać radę. Przynajmniej przez pierwsze dwie, trzy godziny polowania. Jeżeli jednak oczekujemy od naszego psa prawdziwie pięknej i skutecznej pracy, jeżeli chcemy zawiesić na trokach kilka wspaniałe ubarwionych kogutów i wreszcie, jeżeli chcemy poznać prawdziwą wartość potencjału fizycznego naszego pomocnika, co powinno być fundamentalną informacją dla każdego hodowcy, to sporadyczne wypadki w teren możemy oceniać jedynie w kategorii zabawy czy fizycznej rekreacji. W przeszłości, jeszcze w epoce dworskiej, kiedy bieg czasu liczył się inaczej niż współcześnie, uważano, że z wyzłem powinno się wychodzić na polowanie codziennie, aby mieć prawdziwie dobrego towarzysza łowów. Czasy mamy oczywiście inne, ale warto o tym pamiętać.





Polskie łowiska

Jak wspominałem wyżej, najczęściej poluję na koguty w swoim kole, w obwodzie leżącym na terenie Górnego Śląska. Sporo polowałem w łowiskach południowej części województwa świętokrzyskiego, trochę na Podkarpaciu, trochę w okolicach Częstochowy, w okolicach Oświęcimia oraz Jaworzna. Nie sposób przywołać w tak krótkim tekście nawet części wspomnień, dlatego spróbuję narysować jedynie parę obrazów, które utkwiły może nieco mocniej w mojej pamięci.

Daaaaawne studenckie czasy. Zima – prawdziwa – koniec stycznia. Wracam nad ranem z sobotniego spotkania z kolegami i ledwo żywy kładę się spać. Omal w tej samej chwili, takie miałem przynajmniej wrażenie, ktoś szarpie mnie za ramię. „Wstawaj, już czas!” Litości, myślę, odwracając się na drugi bok z nieprzyjemnym uczuciem ciężkości w żołądku. „Wstawaj!” Ojciec budzi mnie na umówione koguty! Zwlekam się z łóżka, ubieram, wsiadamy do samochodu i ruszamy. Dzisiaj nikt zapewne nie zaryzykowałby wyjazdu na polowanie po takiej nocy jak wtedy, ale czasy były zupełnie inne. W ciągu godziny docieramy do łowiska, w rejon zwany w naszym kole „Kopalniaki”. Dzisiaj większości tych stawów już nie ma, gdyż pokonały je kolejne suche lata oraz rozrastająca się strefa ekonomiczna. Wtedy był to jeszcze ciąg czterech leżących w jednej linii stawów przedzielanych dosyć wysokimi groblami.

Późnym latem było to ciekawe łowisko dla lubiących kaczki złoty. Zimą, po spuszczeniu wody z mocno pozarastanych stawów, stawały się one rajem dla bażantów.

Plan ojca był prosty. Ja z Bimem, naszym wyżłem szorstkowłosym, schodzę do pierwszego stawu, przechodzę przez ten i kolejne w poszukiwaniu kogutów. Ojciec na groblach czeka na te koguty, które nie dadzą mi okazji do strzału. Cóż począć? Biorę Bima, ładuję dubeltówkę i schodzę w czeluście piekiel, bo tak wtedy widziałem swoje zadanie. Stawy porośnięte są gęstym, o tej porze roku już wyschniętym trzcinowiskiem, w którego dnie pod niewielką ilością śniegu kryją się tu i ówdzie niezamarznięte kałuże. Mam do przejścia ponad 300 metrów tego terenu. Ruszam, przeklinając w duchu swoją zgodę na wyjazd. Bim pracuje ostro, przede mną rwą się koguty, do których nawet nie próbuję strzelać. Słyszę natomiast liczne strzały ojca. Co parę kroków staję, próbując opanować szalejące trzewia. Jak udaje mi się dojść do końca, nie wiem, ale dochodzę. Po wyjściu na ostatnią groblę z pewnym zdziwieniem stwierdzam, że wyparowały ze mnie w jakiś cudowny sposób skutki wczorajszej imprezy. Oglądam z ciekawością koguty ojca i... ruszamy dalej.

Znaaaaaacznie późniejsze czasy. Początek października, pierwsze w sezonie polowanie w moim kole. Przyjechało 12 kolegów. Dzielimy się na

grupy wokół psiarzy i ruszamy w teren. Ja z synem Maćkiem oraz Klaudiuszem, łowczy koła, do stajemy od losu rejon Warszowice Piekucz. Dobry rejon, a jak dobry, ten dzień pięknie pokazał. Maciek ma ze sobą Gorana, ja Gapę nasze krótkowłose wyżły.

Zaczynamy polowanie około dziewiątej, a w planie jest zakończenie pokotem przy ognisku o godzinie trzynastej. Na początku w trawach nad Pszczynką strzelamy szybko kilka kogutów i podbudowani niezłym rezultatem przenosimy się do miejsca, gdzie Las Baranowski schodzi do doliny rzeki. Na granicy niekoszonych od lat łąk i pól uprawnych jest łącznik zbudowany z pasa krzewów oraz firanki drzew. Znam to miejsce od lat jako ulubioną ostoję kogutów. We dwóch z Maćkiem schodzimy w stronę łącznika z jednej strony, prowadzeni przez Gapę i Gorana. Kolega zachodzi od strony rzeki. Mamy dobry wiatr i po chwili oba wyżły stają w stójce, po czym zaczynają powoli dociągać do granicy krzewów.

Podchodzimy z Maćkiem do psów i w tym momencie zaczynają się rwać koguty. Część w lewo na Maćka, część w prawo na mnie, a część w kierunku rzeki. Strzelam raz i drugi – dublet! Strzałów Maćka nie słyszę, słyszę natomiast dubeltówkę łowczego. Odwracam się i widzę, jak Goran aportuje koguty Maćkowi z jego pięknie strzelonego dubleta. Gapa przynosi moje koguty. Idziemy w kierunku kolegi – kolejny kogut na trokach.

Ponieważ wynik polowania zaczął się zbliżać do 20, uznaliśmy, że czas kończyć, choć do zbiórki pozostała jeszcze dobra godzina. Wracając do

samochodu, postanowiliśmy jednak zajrzeć jeszcze na drugą stronę drogi, na ciekawy łowiecko fragment łąk i nieużytków nad Pawlówką, niewielkim dopływem Pszczynki. Ledwie weszliśmy na łąki, psy stanęły w kolejnych stójkach i na troki powędrowały kolejne koguty.

Zdecydowanie dość było na dzisiaj. Wróciliśmy na miejsce zbiórki, bardzo ciekawi, jak poszło pozostałym grupom. Ostateczny pokot wypadł całkiem okazale – na niewielkiej łączce położyliśmy w pokocie 39 kogutów i jednego lisa. Nasza grupa zdobyła 22 ptaki, co spotkało się z licznymi komentarzami kolegów. Jak na dwunastu strzelców, cztery wyżły i jednego posokowca (tak, tak) wynik zapowiadał niezły sezon.

Chciałbym pokazać choć niewielką część obrazów z moich i syna polowań na bażanty w różnych łowiskach. Wydaje mi się, że taka formuła uwolni czytelnika od mojego nadmiernego gadulstwa, w to miejsce oferując fotografie. One powinny same najlepiej opowiedzieć o emocji i dynamice polowania, o pracy wyżłów czy przeszerzeni, w której polowaliśmy.

fot. archiwum autora



Zbigniew Ciemniński

dr hab. n. med., kardiolog, myśliwy z prawie 50-letnim stażem, autor licznych artykułów o łowiectwie w Gwarectwie Myśliwych, Braci Łowieckiej i Łowcu Polskim oraz na stronie www.psymoje.pl, miłośnik polowania z wyżłem, hodowca – hodowla „ze Skolnitégo”, założyciel Klubu Wyżłów przy Polskim Związku Łowieckim



Majowe polowanie na rogacze w Gierałtowiczkach

Adam Benedykt Bisping



Jako co roku, od dwudziestu kilku lat, w pierwszy weekend, rozpoczynający sezon polowania na kozły, spotykamy się na dorocznym polowaniu na pierwszego rogacza w Gierałtowiczkach. W tym roku przyjechali Liliana, Bohdan, Dariusz, Kuba, Jan, Witek, Izio, Michał, Wacek, Piotrek, Adaś oraz ja z moją żoną Basią.

Sześcioro z nas to członkowie „Klubu Św. Huberta”.

Polowaliśmy w czterech zaprzyjaźnionych kołach łowieckich; „Szarak” Gierałtowice, „Jeleń” Kęty, „Orzeł” Osiek oraz „Czajka” Kraków.

Polowanie rozpoczęliśmy minutą ciszy, żeby oddać cześć śp. koledze Arturowi Płonce, który przez 25 lat uczestniczył w każdym polowaniu, a który po ciężkiej chorobie odszedł do Krainy Wiecznych Łowów.

Niestety w tym roku wegetacja bardzo szybko ruszyła przez co mieliśmy piękne widoki, ale mniejszą możliwość spotkania zwierzyny. Kwit-

nące na żółto rzepaki wyglądały uroczo, ale stanowiły też naturalną kryjówkę dla kozłów. Niemniej po dwóch dniach na pokocie znalazło się 13 rogaczy.

Zgodnie z tradycją za każdym razem na zakończenie polowania w danym dniu odbywał się uroczysty obrzęd – pokot, podczas którego oddawano cześć upolowanej zwierzynie. Uświetniał go swoją grą na rogu nasz kolega Darek, który jest sygnalistą.

Następnie pani domu, Basia, zapraszała wszystkich na biesiadę myśliwską. Rozmawialiśmy głównie o przeżyciach z kniei i o dalszych planach na rozpoczynający się sezon łowiecki. W tym roku niektórym z nas Św. Hubert darzył więcej, a niektórym mniej, ale wszyscy byliśmy zadowoleni ze swoich trofeów.

Wszyscy obiecaliśmy sobie, że spotkamy się znowu za rok.

Gierałtowiczki, 11 maja 2025 r.

Mogą być polowania szybkie, są też ciekawe i wyczerpujące

Hiszpania - Owca Grzywiasta

Andrzej Patoła



Hiszpania to bardzo piękny i różnorodny kraj. Piękne krajobrazy, przepiękne miasta, wspaniałe orientalne potrawy i różnorodność zwierzyny, na którą można polować. My jako myśliwi powinniśmy się w niej zakochać. Ja oso-

biście złapałem hiszpańskiego bakcyła parę lat temu podczas polowania na koziorożca beceite. Więc nie ustawałem w dopingowaniu naszego organizatora Bogdana, by zorganizował polowanie na nietypową dla nas, Polaków, owcę grzy-

wiastą. Ciekawostką jest, że owca ta ma wiele nazw: Arui, Audad, Barbary Sheep, grzywiasta.

Główną cechą myśliwego jest cierpliwość i w tym przypadku bardzo się ona przydała, bo- wiem realizacja wyprawy przeciągnęła się znacz-

nie w czasie. Najpierw długa przerwa spowodowana koronawirusem, później brak chętnych, no ale, jak mówi przysłowie, co się odwlecze to nie uciecze. I tak doczekaliśmy się 2024 roku i usilne próby przyniosły rezultat – Bogdan



zorganizował grupę i ... lecimy. Prawie zawsze na zagraniczne polowania udaję się ze swoją bronią, lecz tym razem Bogdan prosił, bym to rozważył, gdyż co prawda Hiszpania jest w Unii Europejskiej, lecz mają problem z Baskami i na lotnisku są trudności. Jako że lecimy do naszych starych znajomych, Fernando i Jesusa, to można ich wypytać, co z tym fantem zrobić. Po kilku dniach jest odpowiedź, że mają na stanie blaser o trochę innym kalibrze, ale blaser to blaser. Uspokojony tą informacją kontynuowałem przygotowania do wyprawy. Będziemy polować w nadmorskich górach pomiędzy Walencją a Alicante, więc będzie tam jeszcze dosyć ciepło. Nie ma zatem potrzeby zabierania cieplejszych ubrań. Natomiast ponieważ jedziemy w góry to koniecznie trzeba wziąć dobre wysokie buty chroniące kostki. Do tego lornetka z dalmierzem, gdyż strzały będą dalekie. Nie bierzemy dodatkowego prowiantu, bo będziemy mieszkać w hotelu z pełnym wyżywieniem.

I na takim radosnym rozmyślaniu i przygotowaniach czas szybko upłynął. Tuż przed wylo-

tem nasz organizator Bogdan miał wypadek i połamał zębra. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy polecą. W przeddzień wylotu lekarze kategorycznie odradzili mu podróż. Bogdan namaścił na swego zastępcę nieznanego mi Romana, ponoć dobrze znającego tamtejsze warunki, a do tego władającego kilkoma językami.

Wyprawa zaczęła się 14 października 2024 r. od wyjazdu na lotnisko we Wrocławiu skąd mieliśmy lecieć do Walencji. Po trzygodzinnej spokojnej podróży samochodem wjechałem na parking przy lotnisku. Byłem trochę wcześniej, mogłem więc trochę pooglądać obiekt – mały, ale nowoczesny. Usiadłem z bagażem naprzeciw wejścia. Nie znalazłem uczestników wyprawy, więc musiałem po ubraniu i zachowaniu rozpoznać, że to myśliwi. Po pewnym czasie moją uwagę zwróciła grupka żywo gestykulujących dwóch mężczyzn i kobiety w stonowanych brązowych strojach. Podeszedłem do nich, pozdrowiłem łowieckim Darzbór i spytałem, czy są myśliwymi. Okazało się, że dobrze trafiłem. To Ada, Rafał i Krzysiek. Czekamy jeszcze na Franka i Romana, którzy mają najbliżej,



więc się nie spieszą. Wszyscy serdeczni i rozgadani, więc lot do Walencji upłynął szybko. Nikt nie miał swojej broni, więc odprawa, jako że to Unia Europejska, przebiegła szybko i sprawnie.

W hali przylotów w Walencji czekali na nas starzy znajomi Fernando i Jesus. Jako że Hiszpanie są żywiołowi i serdeczni takie też było powitanie. Zapakowaliśmy się w dwa samochody terenowe i przyjeżdżaliśmy do miejscowości Polop. Kilkogodzinna podróż upłynęła szybko. Po lewej stronie mijaliśmy piękne wybrzeże Costa Blanca, po prawej w oddali widoczne były góry. Pomiędzy nimi pola uprawne z winnicami i nietypowymi dla nas uprawami.

Polop to mała górską miejscowość położona w dolinie strumienia i na niższych wzniesieniach, otoczona wysokimi górami. Na jednym ze wzgórz widnieje średniowieczny zamek zbudowany przez Maurów w XII wieku. Tuż za hotelem piętrzy się potężny masyw Monte Ponoig zwany też Śpiącym Lwem ze względu na jego charakterystyczną sylwetkę. Tam właśnie żyją grywiaste i tam będziemy polować.

Szybki obiad i trzeba się zapoznać z łowiiskiem, przystrzelać broń. Z hotelu mamy kilka kilometrów dobrej asfaltowej drogi. Później wjeżdżamy w gruntową i stromo pnącą się w górę. Droga wiję się serpentynami. Mijamy ostatnie zamieszkałe domy. Przy ruinach zabudowań organizatorzy urządzają prowizoryczną strzelnicę. Dostaję Blasera R8 w kalibrze 270 WSM z lunetą Swarovski z pokrętłem balistycznym. Tarcza w odległości 200 m. Strzelamy z maski samochodu. Dwa strzały ułożyły się w centrum koła o średnicy 5 cm, więc jest dobrze. Z tej samej broni ma strzelać Roman, więc też próbuje. Rezultat podobny.

Czekamy na pozostałych kolegów i koleżankę, którzy mają inne jednostki broni i też muszą się wstrzelać. Po zakończeniu strzelań, jako że jest dopiero wczesne popołudnie, zapada decyzja, aby zrobić dzisiaj jeszcze krótkie wprowadzające polowanie. Wszyscy są „za”, więc tworzymy grupy. Jako że strzelamy z Romanem z tej samej broni jedziemy razem, a za podprowadzającego mamy Jesusa.

Droga pnie się ostro w górę w kierunku masywu Śpiącego Lwa. Po przejechaniu kilku kilometrów zostawiamy samochód i udajemy się w podchód. Roman jako prawy myśliwy stwierdził, że mój wiek i siwa głowa przemawiają za tym, abym to ja pierwszy strzelał. Przed nami piętrzą się małe wzniesienia, których podłoże pokryte jest białymi kamieniami, pomiędzy którymi wyrastają małe krzewinki, a najwięcej pośród nich jest rozmarynu. Zapach jest więc przyjemny. Przemieszczanie się jest dosyć utrudnione, gdyż trzeba poruszać się po wierzchołkach kamieni nieraz przeskakując z jednego na drugi.

Przekroczyliśmy już kilka wzgórz i przed wyjściem na następne Jezus na wzgórzu po prawej stronie zauważył śpiącego pod krzakiem barana. Popatrzyłem przez lornetkę – odległość ponad 400 metrów. Jezus stwierdził, że dobry do strzału. Proponuję, żebyśmy trochę podeszli, bo to

jednak daleki strzał. Idąc w jego kierunku schodzimy w dół z naszego wzgórza co powoduje, że będę strzelał dosyć ostro w górę. Nie jest to łatwy strzał a tym bardziej na taką odległość trzeba wziąć odpowiednie poprawki. Podeszliśmy krzaczkami jeszcze parę metrów. Sprawdzam dalmierzem – 360 metrów. Dalej już wzgórze opada dosyć stromo w dół. Nie mamy pastorału, który pojechał z Fernando i naszymi kolegami, więc muszę strzelać z pozycji leżącej z plecaka ułożonego na kamieniu. Jest dosyć stromo, więc nie mogę się położyć w linii prostej do sztucera, bo nie pozwalają na to kamienie i krzaki. Układam się więc pod kątem prawie prostym do linii strzału i próbuję się wgnieść w kamienie, bo mam oddać strzał w górę.

Dobrze, że baran spał, bo kokosiłem się dobrych parę minut. Ale wreszcie mam go dobrze w krzyżu. Jezus sprawdza jeszcze ustawienie lunety – mogę strzelać, gdy baran się podniesie. Upłynęło jeszcze parę minut zanim wreszcie wstał. Mogłem jeszcze zerknąć przez lornetkę – jest stary, ładny, z dużą grzywą na piersi i nogach. Wgniotłem się między kamienie, złapałem cel, zatrzymałem oddech i oddałem strzał. Odrzut broni spowodował, że nie wdziałem reakcji po strzale. Natomiast Roman, siedzący za krzakiem powyżej nas, widział przez lornetkę przestrzał. Baran odszedł powolnym krokiem za zarośla i zniknął z pola widzenia. Leżenie w bardzo niewygodnej pozycji sprawiło, że nie mogłem się szybko podnieść i podążyć na zestrzał. Więc Jezus wziął sztucer i z Romkiem szybko zaczął schodzić w dół po zboczu, by po dojściu na dno wspiać się w górę. Trochę zostałem w tyle i w trakcie podchodzenia pod górę usłyszałem strzał. Po dojściu Jezus stwierdził, że go dostrzeżlił, gdyż ten próbował się podnieść. Przyjąłem złom z rąk Romana i gratulacje od Jezusa.

Chwila rozmowy, by emocje opadły. Oglądamy dokładnie, co się udało pozyskać. Jezus zachwala trofeum, że baran stary i okazały, pyta też, co będzie trofeum. Mówię, że będzie spreparowany w całości, więc potrzebna jest cała skóra. Niemożliwe okazało się zniesienie stąd tuszy do samochodu, więc Jezus, przy naszej pomocy, barana obielił na miejscu. Natomiast tuszę pozostawiamy dla drapieżników. Zresztą sępy już nad nami krążyły. Bielenie trwało dosyć długo, więc do samochodu wróciliśmy z trofeum prawie o zmierzchu. Podróż do hotelu trwała jeszcze około godziny.

Po przybyciu na miejsce szybki prysznic i kolacja. Kolacja, to spotkanie wszystkich i opowiadania, które mogą ciągnąć się godzinami. Fajnie jest przebywać w takim towarzystwie, opowia-



dać swoje przeżycia i chłonać wrażenia innych.

Późno w nocy udaliśmy się na zasłużony odpoczynek – przecież jutro też polujemy. Nie powiem – spało mi się wygodnie i szybko. Dopiero co się położyłem a już usłyszałem dźwięk alarmu w telefonie. Podczas śniadania ustalamy co robimy. Ja już mam strzelonego barana, więc jadę pokibicować Romanowi.

Ponownie pojechaliśmy w kierunku masywu Monte Ponoig lecz od jej drugiej strony. Podróż była o wiele dłuższa. Najpierw kilkanaście kilometrów objeżdżaliśmy górę, a później drogami góorskimi wyjechaliśmy na wyżyny za nią. Po długiej jeździe krętymi drogami na dużym wzgórzu zobaczyliśmy las anten różnej wielkości od małych po potężne. Kontrast między dziką przyrodą gór a nowoczesnymi spodkami anten bił w oczy. Okazuje się, że jest to ukryta baza NATO strzegąca Morza Śródziemnego. Tuż za bazą droga kończyła się potężnym uskokiem skalnym.

Zostawiamy samochód i zabierając sprzęt pniemy się stromą ledwo zaznaczoną ścieżką do góry w kierunku ostrych skał. Podchodząc wi-

dzimy na szczycie skał dwie sylwetki owiec, lecz te, zauważywszy nas, szybko znikły. Z dołu nie widać było możliwości przejścia stromych skał, by dostać się na drugą stronę. Lecz po podejściu do nich ukazała się nam niewielka szczelina, przez którą da się przecisnąć. Trzeba zdjąć plecaki, broń i szorować brzuchem lub plecami po skałach. Jezus z kolegą, to młodzi szczupli Hiszpanie; ja mam ten, powiedzmy niewidoczny, brzuszek. Najgorzej miał Roman, bo ma trochę tu i tam. Do końca się nie przyznał czy przetarł tylko ubranie. Po wyjściu przez skały na drugą stronę ukazał się nam płaskowyż otaczający bazę, która była usytuowana na wzgórzu powyżej. Płaskowyż porośnięty był niskimi krzewami do wysokości kolan. Szliśmy gęsiego rozglądając się, gdzie te barany. Gdzieśkolwiek koło ścieżki bieleły kości różnych zwierząt. Łańcuch pokarmowy działa; nic się nie marnuje. Po przejściu około pięciu kilometrów teren zaczął się zmieniać. Krzewy znikły, natomiast pokazały się białe głazy, po których trzeba było skakać, a gdy trafiły się wyższe, to je obchodzić. W pewnym



momencie doszliśmy do miejsca, gdzie zaczynał się rodzaj wąwozu, zagłębienia biegnącego coraz niżej. Poszliśmy jego lewą stroną i po pewnym czasie znaleźliśmy się na końcu skalnego półwyspu piętrzącego się ponad otaczającym terenem. Jesus, który szedł pierwszy, przykucnął i pokazał na zbocze po drugiej strony wąwozu. Ostrożnie lornetowaliśmy ten teren i wreszcie widzę stado owiec. Jedne śpią inne żerują. Widzę jednego dużego barana. Lecz odległość do nich jest duża, oscylująca w granicy pięciuset metrów. Nie możemy się do nich zbliżyć – przed nami przepaść.

Po krótkiej naradzie wracamy do początku wąwozu i idziemy jego prawą stroną kierując się w górę bliżej bazy, gdyż tam są krzaki, które mogą nas osłonić przed wzrokiem zwierzyny. Dochodząc bliżej widzimy z daleka uchodzące stado. Jednak nas zobaczyły lub zwierzyły. Spokojnie i ostrożnie udaliśmy się za nimi. Po pewnym czasie doszliśmy do półki skalnej, gdzie widzieliśmy je po raz ostatni. Po jej drugiej stronie było obniżenie terenu i następne wzgórze. Lornetując ten teren zobaczyliśmy na jego szczycie przemieszczające się stado. Stado nie było spłaszczone i nawet niektóre osobniki żerowały. Zlokalizowaliśmy też tego dużego barana. Stał na szczycie wzniesienia. Odległość grubo ponad trzysta metrów. Romek najpierw próbował złożyć się z pastorału, lecz później Jesus zobaczył płaski głaz wystający ze zbocza. Przypiął

do blasera bipod i poradził Romkowi by z niego strzelał na leżąco. Taka pozycja jest o wiele stabilniejsza. Jesus położył się obok i oczywiście kręcił i sprawdzał, czy luneta jest ustawiona na odpowiednią odległość.

Jako że tło gór jest zbliżone kolorystycznie do sukni owiec, trudno na dalszą odległość je zlokalizować nawet przez lornetkę czy lunetę. Przy lunecie o dużym powiększeniu (25x) jaką mieliśmy, najpierw trzeba na mniejszym powiększeniu wyłapać cel a później dopiero zwielokrotnić powiększenie. Jakikolwiek większy ruch broni powoduje utratę celu i trzeba zaczynać od nowa. Po chwili jest polecenie – wszystko w porządku, strzelaj. Podniosłem lornetkę do oczu, by widzieć rezultat strzału. Po strzale baran padł jak porażony, zza krzaka wystawała tylko głowa i część karku. Nie podobała mi się jego reakcja, Jesusowi też, więc polecił, by Roman strzelił jeszcze raz. Ale niestety po strzale Roman stracił kierunek i nie mógł zlokalizować leżącego barana. Szukałem punktu orientacyjnego bym mógł go na niego naprowadzić.

Kilka kilometrów dalej na wysokim wzniesieniu zobaczyłem dom w kształcie zamku. Pokrywał się on z kierunkiem strzału. Spytałem, czy go widzi, później poradziłem by zjechał w dół do dużego krzaka na wzgórzu, na którym strzelał – w lewo pod mniejszym krzakiem leży baran. W momencie, gdy go znalazł, baran się podniósł i chwiejnym krokiem zaczął schodzić w dół. Po

chwili się zatrzymał. Drugi strzał też był celny, co widać było po reakcji zwierza. Odczekaliśmy chwilę. Widać było, że doszedł i leży.

Dotarcie do niego było trudne, gdyż dzieliła nas głęboka rozpadlina skalna. Musieliśmy ją obejść, co zajęło sporo czasu. Po dojściu na sąsiednie wzgórze tyralierą zaczęliśmy szukać miejsca strzału. Wysoka roślinność rosnąca na wzgórzu na pewno nam w tym nie pomagała. Szukałem najniżej wzgórza, chesałem kilkakrotnie w tę i z powrotem zarośla sięgające kolan. To samo robili koledzy powyżej mnie. Ale bez rezultatu. W końcu wpadłem na pomysł – popatrzyłem na dom w kształcie zamku, zlokalizowałem na odległym wzgórzu głaz, z którego strzelał Roman, ustawiłem się w linii prostej i zacząłem szukać równoległe do tego kierunku. Po kilkukrotnym przejściu z odstępem kilku kroków nie znalazłem barana. Już nawet byłem skłonny przypuszczać, że ranny poszedł do wysokich zarośli, z których usłyszałem podejrzane trzaśnięcie gałązki, lecz za chwilę wyskoczył z nich koziorożec sierra nevada. Szukanie trwało już około pół godziny i nie zmierzało do pomyślnego zakończenia. Wtedy pomyślałem, że gdy obserwowaliśmy leżącego barana po drugim strzale był on dobrze widoczny z miejsca, z którego strzelał Roman. Trzeba więc tam wrócić, by stamtąd pokierować poszukiwaniami. Skontaktowałem się z Jesusem i przedstawiłem mu mój plan. Stwierdził, że to dobry pomysł i że jego kolega, który z nami poluje, podejdzie tam, gdyż jest najbliżej tego miejsca. I tak się stało. Po chwili Jesus doszedł do mnie z telefonem przy uchu kierowany przez kolegę, podszedł do jednego z wyższych krzaków i zawołał mnie. Okazało się, że baran leżał w zagłębieniu pod krzakiem a na tle krzewu widoczna była tylko głowa.

Przechodziłem koło tego krzaka przynajmniej dwa razy i go nie zauważyłem.

Cieszyłem się bardzo, że poszukiwania zakończyły się pomyślnie. Wręczyłem Romanowi złom oraz szczerą gratulację dwóch celnych strzałów. Okazało się, że pierwszy strzał był zbyt wysoki; spowodował obcierkę kręgosłupa i chwilowy paraliż. W Polsce nazywamy to strzałem na puste.

Nie obyło się oczywiście bez sesji zdjęciowej. Roman będzie robił medalion, więc skórowanie szybsze. Trofeum chowamy do plecaka i pada pytanie jaką drogą wracamy do samochodu.

Idąc tą samą drogą, jak wskazuje licznik, mamy do przejścia ponad 10 kilometrów. W odległości kilometra jest asfaltowa droga dojazdowa do bazy, lecz po niej oprócz wojska poruszać się może tylko straż pożarna. Alternatywą jest ostre podejście pod ogrodzenie bazy a później w dół do drogi, którą przyjechaliśmy. Jesus jest za tą opcją, bo jest krótsza. Nie wiem czy to dobry pomysł – przewyższenie z tego miejsca do bazy to 500 metrów idąc pomiędzy krzakami i głazami. No ale ruszamy. Pierwsze sto metrów było jeszcze jako takie, nie byliśmy jeszcze tak bardzo zmęczeni. Dalsze przemieszczanie, to była tragedia. Odcinki pokonywanej drogi między odpoczynekami się skracaly, natomiast wydłużały się odpoczynki. Nie dotyczyło to naszych podprowadzających młodych szczupłych Hiszpanów, którzy wysforowali się przed nami i nas dopingowali. Droga się wlokła, ale jakieś postępy były. Bałem się o moją łakotkę, która była nieraz nieposłuszna. Ale być może stres związany z zapowiedzą Jesusa, że ratunek tutaj może przynieść tylko helikopter i to tylko za zgodą wojska, spowodował, że łakotka się podporządkowała i dobrze współpracowała.

Wyjście zabrało nam około półtorej godziny





i po odsapnięciu szliśmy wokół bazy do skalnego klifu. Na jego dole była droga, którą przyjechaliśmy. Szliśmy wzdłuż przepaści do charakterystycznego siodła i w tym momencie Jesus skręcił w jej kierunku i znikł. Po dojściu do tego miejsca pokazała się wąska półka, która prowadziła w dół po ścianie skalnej. Po przełożeniu wszystkich bagaży na lewą stronę, trzymając się skał, powoli zeszliśmy w dół przepaści. Po zejściu ze skał do drogi mieliśmy dwieście metrów. Ale nasz samochód stał około trzech kilometrów dalej. Stwierdziliśmy z Romanem, że mamy na dziś dość i wyłożyliśmy swoje zmęczone ciała w rowie przy drodze niczym w wielkim fotelu. Młodziż popatrzyła na nas, coś do siebie powiedzieli po hiszpańsku i z uśmiechem zaczęli biec do samochodu – mają kondycję. Nie trwało długo i usłyszeliśmy jadący samochód. Do hotelu dotarliśmy późnym popołudniem, prawie na kolację. Okazało się, że wszystkie zaplanowane barany zostały pozyskane. Mamy więc jutrzejszy dzień w zapasie. Odlatujemy pojutrze. I tu następuje podział naszej grupy: Roman, Franek i Krzysiek jadą z Jesusem w góry, bliżej Alikante, zapoławać jeszcze na kozioróżce a my z Fernando jedziemy zwiedzać Walencję.

Fernando podwiózł nas do hotelu, gdzie zostawiliśmy bagaże, a później z samochodu pokazał nam miasto i zabytki przeplecione nowoczesną zabudową oraz potężne porty jachtowe. Po ciekawej wycieczce wysiedliśmy przy największym oceanarium w Europie. Oceanarium jest zbudowane w dawnym korycie rzeki Turia.

W roku 1957 miasto nawiedziła ogromna powódź niszcząc miasto. Rząd obiecał je odbudo-

wać i postanowił zmienić bieg rzeki i skierować jej wody na południowe obrzeża Walencji. Po zwiedzeniu oceanarium wracaliśmy siedem kilometrów do hotelu starym korytem rzeki, gdzie zostały zbudowane piękne obiekty: filharmonia, instytuty badawcze, muzea. Ale najwięcej jest boisk sportowych przeróżnych dyscyplin. Jest to rodzaj parku ciągnący się przez całe miasto. Po jednej i drugiej stronie prowadzą ścieżki rowerowe, trasy do biegania i spacerowe. Bardzo dużo nasadzonych drzew, krzewów i kwiatów rosnących i kwitnących w tropikach. Nierealnie wyglądają stare zabytkowe i nowoczesne mosty, które nie zostały wyburzone i stanowią w tej chwili rodzaj wiaduktów nad parkiem poniżej. Odwiedziliśmy jeszcze stare miasto z wiekową bramą wjazdową oraz katedrę, w której przechowywany jest mityczny Święty Graal – kielich używany przez Jezusa podczas Ostatniej Wieczerzy.

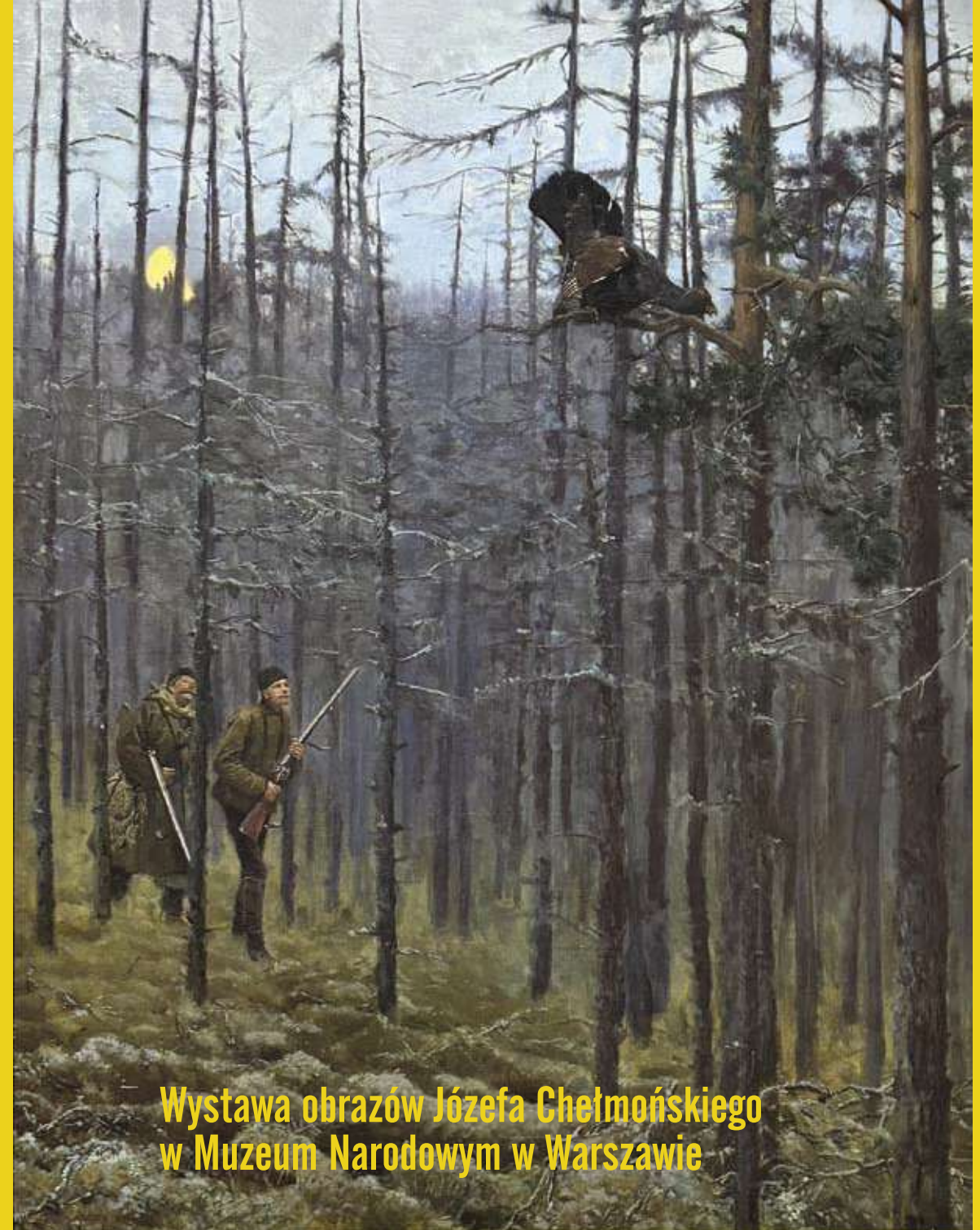
Zakończyliśmy wycieczkę w hotelowym lobby zmęczeni, ale usatysfakcjonowani. Jutro lecimy do domu. Fajne polowanie, fajna wycieczka.

fot autor



Andrzej Patoła

Myśliwy od 1973 roku, Prezes Koła Łowieckiego Hubert w Proszowicach. Myśliwski globtroter, kolekcjoner oraz autor opowieści o tematyce łowieckiej



Wystawa obrazów Józefa Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie

Będąc 20 listopada 2024 r. w Warszawie postanowiłem pójść do Muzeum Narodowego, żeby zobaczyć wystawę prac Józefa Chełmońskiego. Na szczęście bilet wykupiłem internetowo, dzięki czemu ominąłem dość dużą kolejkę oczekujących.

Sale wypełnione były młodzieżą szkolną, co prawie uniemożliwiało spokojne oglądanie obrazów. Wszystkie dzieci z pewnością nie miały ukończonych 18 lat, a mimo to nauczyciele pokazywali im obrazy ze scenami z polowania na wilki, cietrzewie, głuszce, słonki itd. Od razu nasunęła mi się na myśl, co do absur-

du decyzji prawnych podjętych przez naszych polityków, zabraniający udziału dzieci w polowaniach, nawet w towarzystwie i pod opieką swoich rodziców.

Polecam wystawę wszystkim, bo tak piękne obrazy jednego malarza, zgromadzone w jednym miejscu nie zawsze można zobaczyć.

Wystawa została teraz przeniesiona do Poznania i też bije rekordy zwiedzających, a niebawem zobaczymy ją także w Krakowie. Namawiam wszystkich do jej obejrzenia.

Adam Benedykt Bisping



Marek Wajdzik

Syberia. Marzenia się spełniają - cz. II

Z popołudniowej drzemki wyrywa mnie głos Bogdana, który, stojąc w drzwiach naszej kwatery, żartuje sobie ze mnie i Grzegorza, że w spaniu to możemy iść w konkury z syberyjskimi niedźwiedziami. *Wstawajcie* – kontynuuje Bogdan – *za 15-20 minut spotykamy się w stołówce na popołudniowej kawie i wyruszamy w teren, cietrzewie na was czekają* – kwituje wychodząc. Wstajemy pospiesznie i swe kroki kierujemy do stołówki, gdzie trwa już ożywiona rozmowa przy kawie. Ważą się losy w jakie tereny nieprzebytych syberyjskich ostępów się dzisiaj udamy. Ze względu na fakt, że razem z Grzegorzem plan głuszcowy mamy wykonany, dzisiaj spróbujemy szczęścia polując na cietrzewie, a reszta tzn. Tadeusz, Tymek i Bogdan wybiorą się na głuszcę. Po kawie pakujemy się do naszych UAZ-ów i ruszamy w kierunku znanym tylko naszym podprowadzającym. Godzinna droga w towarzystwie Saszy jak zwykle upływa na myśliwskich pogaduchach. Mój kompan jest człowiekiem niezwykle pogodnym, lubiącym opowiadać o syberyjskich ciekawostkach. Początkowo nasza droga wiedzie

szeroką i dobrze utrzymaną dwupasmówką, która w Polsce ze względu na swe gabaryty zapewne miałaby status autostrady lub drogi szybkiego ruchu. Ruch na niej niewielki i na odcinku ponad 40 km spotykamy zaledwie kilkunastu różnych uczestników ruchu. Po drodze mijamy kilka niewielkich wiosek o bardzo zbliżonej architekturze. Napotkane domy są zazwyczaj drewniane, rzadziej murowane (z charakterystycznej białej cegły), kryte eternitem, „ozdobione” najczęściej specyficzną niebieską elewacją. Na podwórkach domostw piętrzą się stosy brzoźowego drewna. To zimowe zapasy, które gromadzi się już od wiosny, bo zimy są tu długie (trwają zazwyczaj od listopada do końca kwietnia) i srogie. Na niektórych posesjach sągów brak. To obejścia bogatszych gospodarzy, którym ciepło w zimie zapewnia gaz ziemny. Do nich zalicza się mój podprowadzający Sasza, który z dumą prezentuje mi swoje murowane obejście, zwracając uwagę na „żółtą gazową rurkę”, która tu na Syberii jest oznaką zamożności. *Nie muszę rąbać drewna i mam więcej czasu na polo-*



wanie – kwituje dumny gospodarz. Zaznajomwszy się z syberyjską architekturą zbaczamy z asfaltu i polnymi drogami przemieszczamy się po bezkresnym stepie, gdzieś tam porośniętym brzoźowymi laskami. Po drodze mijamy licznie występujące tu sarny syberyjskie, bliskie krewniaczki naszych sarniaków, które o tej porze roku (podobnie jak nasze) wiodą życie w niewielkich rudlach. Wyraźnie są roślejsze od tych europejskich, a rogacze mają większe i bardziej rozłożyste parostki – o tej porze roku jeszcze w scypule. Z zaciekawieniem pytam Saszę jak wygląda polowanie na nie. *Pokażę Ci* – odpowiada Sasza i w tym momencie gwałtownie zmienia kierunek jazdy biorąc kurs na żerujące sarny. Około 150 m przed nimi Sasza zatrzymuje samochód, wysiada i obserwuje sarny przez lornetkę. Po chwili rzuca w mym kierunku *nrawitsa* – *strielaj, nie nrawitsa* – *pajechali. Tak my ochotimsja* – kwituje. *Oczywiście zdarza się, że ostatnie kilkadziesiąt metrów skradamy się, nawet na kolanach, aby skrócić dystans do saren, ale rzadko. Z kolei w czasie rui polujemy również na rogacze na wab –*





kończy swój wykład Sasza. Po chwili jesteśmy na miejscu. Parkujemy UAZ-a w niewielkim brzeziniaku i udajemy się na miejsce „cietrzewiowej schadzki”, na skraju której Sasza wybudował budkę. Podobnie jak poprzednia i ta jest wykonana z gałęzi brzoźowych, uszczelnionych suchymi trawami. Nasze schronienie wkopano na około 50-70 cm w ziemię co nadaje budce przestronności dzięki czemu bez przeszkód jest wstanie pomieścić dwóch myśliwych. Po usadowieniu się w środku kontynuujemy szeptem naszą myśliwską rozmowę od czasu do czasu spoglądając przez prowizoryczne „okienka” i sprawdzając czy też w okolicy nie pojawiły się cietrzewie. Gdy zaczęło szarzyć na tokowisko zaczęli zlatywać się granatowi rycerze. Pojawiali się pojedynczo lub po kilka osobników i po chwili wokół budki zawrzało. Część kogutów z wyciągniętymi szyjami i rozłożonymi lirami tańczyła starając się zdobyć względy ciecioriek, a pozosta-

łe przyskakiwały do siebie i tłukły się dziobami i skrzydłami. Nie wiem, ile to trwało, ale oglądałem to niecodzienne dla mnie widowisko jak zahipnotyzowany. Z zadumy wyrwało mnie szturchnięcie Saszy, który wskazał na cietrzewia najbliżej tokującego przy budce i podał mi swą jednorurkę. Buchnął strzał i granatowo-czarny rycerz znieruchomiał. Po strzale część cietrzewi odleciała, a część, jak się okazało po chwili, pozostała, by kontynuować swe weselne harce. Gdy zapadła zupełna ciemność opuściliśmy nasze schronienie. Bez trudu odnalazłem strzelonego cietrzewia, który tkwił tam, gdzie dosięgła go wiązka śrutu. Gdy trzymałem go w ręku zdałem sobie sprawę, że moje syberyjskie marzenie w pełni się spełniło i udało mi się pozyskać kolejnego przedstawiciela zaliczanego – obok głuszca i jarzabka – do kuraków leśnych.

Darzbór

Marek Wajdzik
fot. autor



Drodzy Czytelnicy „Myśliwca krakowskiego”,

Jak mawiał klasyk: „Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi... a i to nie jest pewne”. W wiosennym numerze naszego pisma (nr 39/2024) ukazał się ciekawy artykuł autorstwa kol. Waldemara Smolskiego pt. „Dżentelmen z Szarpańców”, poświęcony Karolowi Bilińskiemu. Niestety, na stronie 67 do podpisu pod zdjęciem (poniżej) wkraść się mały chochlik. Poprawna wersja podpisu powinna brzmieć:

Polowanie na kaczki w Zatorze (1965 lub 1966 rok). Od prawej: Jan Bober, Karol Biliński, Franciszek Cichy, Stefan Rachwał

Dziękujemy serdecznie kol. Jackowi Jaskulskiemu za spostrzegawczość i pomoc w wychwyceniu tej pomyłki!

Redakcja

Spis treści:

Pasożyty naszego zrzeczenia...	3
Marek Wajdzik	
Policzmy wilki w Polsce!	4
Henryk Okarma	
Fauna gminy Michałowice na przestrzeni lat	6
Jerzy Chmiel	
Dokarmianie sianem dzikich zwierząt!	
Realia polskie i kanadyjskie	13
Michał Kielb	
Mój sąsiad niedźwiedź	14
Marcin Sichelski	
Wycena medalowa trofeów jeleni byków w sezonie 2024/25	18
Mateusz Dudzik	
Piękno łowieckiej literatury	20
Marek P. Krzemień	
Lato	28
Ryszard Adamus	
Targi HUNT EXPO 2025 w Krakowie:	
Myśliwi na pierwszej linii pasji	32
Barbara Helek	
Targi HUNT EXPO i 1. Festiwal FAST	34
– duet, który przyciągnął tłumy	
Trofeistyka - ptactwo	36
Dariusz Knap	
Z sercem i pasją	38
Hubert Ogar	
Małe Intelktualia Myśliwskie	42
Adam Benedykt Bisping	
Bażant - godny przeciwnik	44
Zbigniew Ciemniowski	
Majowe polowanie na rogacze	
w Gierałtowiczkach	50
Adam Benedykt Bisping	
Hiszpania - Owca Grzywiasta	52
Andrzej Patoła	
Wystawa obrazów Józefa Chełmońskiego	
w Muzeum Narodowym w Warszawie	61
Adam Benedykt Bisping	
Syberia. Marzenia się spełniają. cz.II	62
Marek Wajdzik	



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Adam Bisping
Roman Barbasz
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Ryszard Adamus
Patrik Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Skleniarz

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadstanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:

archiwum Marka P. Krzemienia str. 1

Ryszard Adamus str. 2, 4

Hubert Zwinczak str. 3

Niepołomice
18 października 2025 roku

10.30 - zbiórka uczestników na dziedzińcu Zamku Królewskiego
11.00 - Msza Święta Hubertowska w Kościele Parafialnym
12.00 - Przemarsz orszaku hubertowskiego z kościoła do Zamku
12.30 - część oficjalna na dziedzińcu Zamku Królewskiego
14.30-17.00 - Spotkanie myśliwych na Podgrodziu Zamku Królewskiego

Hubert Zwinczak

